

Powiat



Nr 7-8 (137-138), Lipiec-Sierpień 2012
Rok XII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Nowe programy i przebudowy kolejnych dróg
Ławeczka Ireny Kwiatkowskiej
Wakacje wiejskich dzieci
Co zapamiętamy po Euro 2012?
Słupskie Cieśliki – piłkarska szkoła wychowania
„Kultura, głupcze”
Małe jest piękne. Kościół w Objeździe
Mój przyjaciel dom
Wieś Tworząca

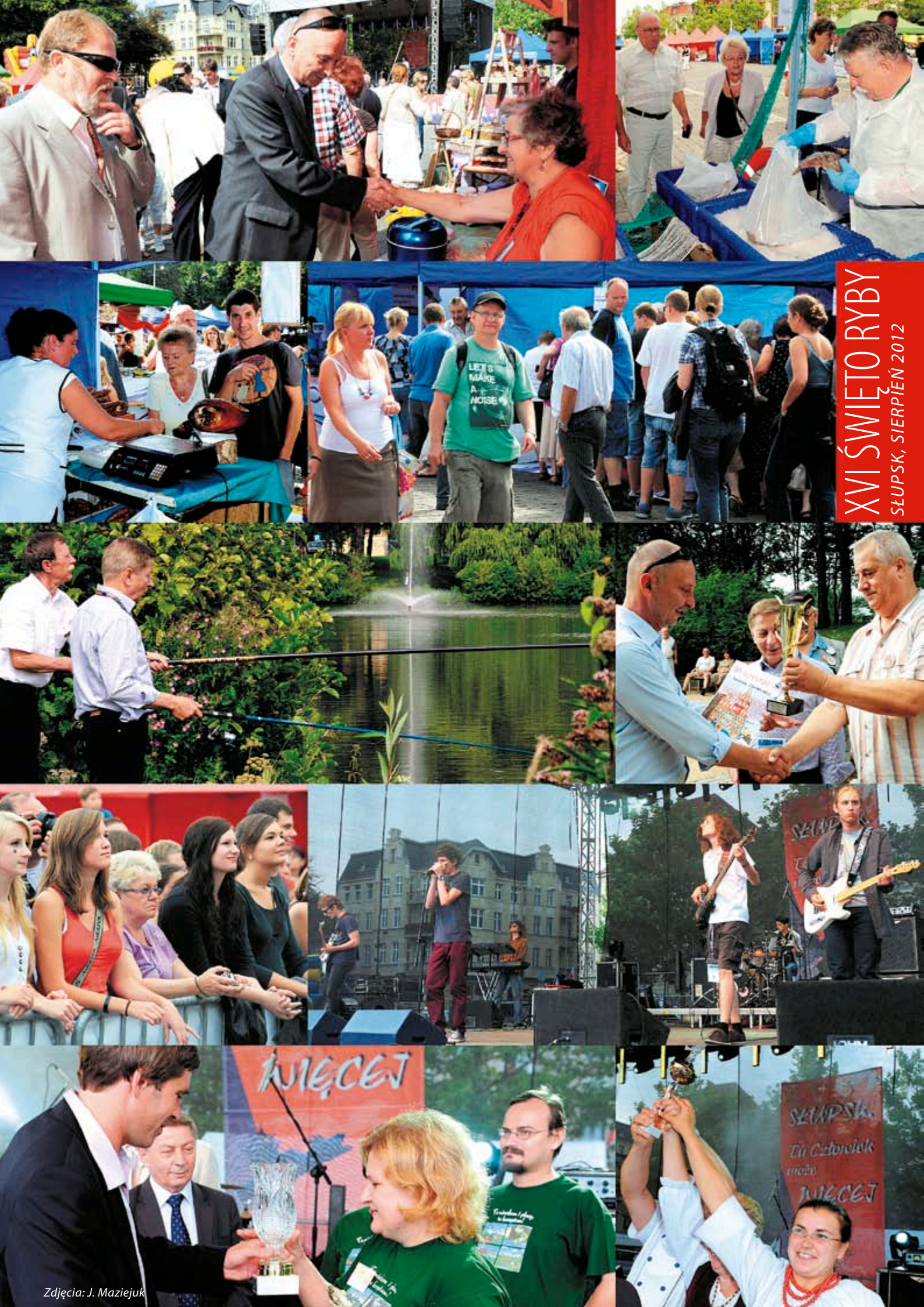


Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie.” Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach działania „Małe projekty”, objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 oraz z budżetu Fundacji Partnerstwo Dorzecze Słup, przeznaczzonego na wdrażanie Lokalnej Strategii Rozwoju. Biuletyn opracowany w Starostwie Powiatowym w Słupsku. Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 - Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.



XVI ŚWIĘTO RYBY
SŁUPSK, SIERPIEŃ 2012



Drodzy Czytelnicy!

Termomodernizacja budynków użyteczności publicznej to jeden z ważniejszych w tym roku projektów inwestycyjnych realizowanych przez słupskie starostwo. Całkowita wartość projektu to prawie dwa i pół miliona złotych, dofinansowanie z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska w wysokości 30 procent kosztów

kwalifikowanych wyniesie około 573 tysiące zł. W ramach tego projektu roboty termomodernizacyjne wykonane będą (niektóre są w trakcie realizacji, a niektóre już zakończono) w pięciu placówkach powiatowych, tj. Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku, Domu dla Dzieci Towarzystwa „Nasz Dom” w Ustce oraz Domach Pomocy Społecznej w Machowinie, Lubuczewie i Machowinku.

Bardzo się cieszę, że na krótko przed rozpoczęciem roku szkolnego udało się zakończyć zaplanowane prace w Zespole Szkół Agrotechnicznych. W ramach zadania wykonane zostały roboty w trzech budynkach, obejmujące docieplenie ścian zewnętrznych, częściową wymianę okien, docieplenie stropodachu i wymianę instalacji centralnego ogrzewania w starym budynku. W roku ubiegłym ocieplono ściany zewnętrzne oraz stropodach, a także wymieniono stolarkę okienną w budynku głównym, natomiast od maja do sierpnia tego roku wykonano roboty budowlane w starym budynku szkoły i w sali gimnastycznej. Po zakończeniu wszystkich zaplanowanych robót dawny „rolniczak” wypiękniał, a cały kompleks budynków w otoczeniu zieleni, stanowi bardzo ładny zakątek przy głównej ulicy Słupska.

Budynek po filii Powiatowego Urzędu Pracy w Ustce przy ulicy Kościuszki zaadaptowano w ubiegłym roku za środki powiatu na potrzeby Domów dla Dzieci Towarzystwa „Nasz Dom”. Na początku tego roku zamieszkało tam piętnaścioro dzieci w wieku od 11 do 19 lat, którym przygotowano bardzo dobre warunki mieszkaniowe. Wychowawcy zapewniają, że dzięki temu udało im się stworzyć prawdziwie rodzinną atmosferę. W tym roku w ramach projektu zostanie wykonany drugi etap robót, obejmujący docieplenie ścian zewnętrznych. Prace mają zostać zakończone do końca listopada.

W Domu Pomocy Społecznej w Machowinku zaplanowano termomodernizację pralni - docieplenie ścian zewnętrznych budynku, wymianę okien, modernizację systemu ciepłej wody użytkowej poprzez zamontowanie solarów. Obecnie trwają roboty budowlane, które mają zakończyć się do końca br. W DPS w Lubuczewie będzie wymieniona stolarka okienna oraz ocieplony dach. W 2011 roku wykonany został audyt energetyczny. Jest już gotowy projekt budowlany. Jeszcze w tym roku zostanie ocieplony dach, natomiast stolarka okienna będzie wymieniona w roku przyszłym. W DPS w Machowinie projekt zakładał roboty termomodernizacyjne w budynku biurowym oraz w „Białym Domku” (wymiana stolarki oraz modernizacja centralnego ogrzewania). Inwestycja jest realizowana, a jej zakończenie przewidziane jest też na koniec tego roku.

Inwestowanie w termomodernizację przyczyni się do zmniejszenia kosztów ogrzewania, a także zanieczyszczeń emitowanych do atmosfery. Ponadto wszystkie budynki wypięknieją.

Sławomir Ziemanowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAZ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Na Jarmarku Gryfitów w Słupsku; w zagrodzie Kazimierza Kostki w Wodnicy.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

- Nowe programy i przebudowy kolejnych dróg.....4
- Ryby wróciły na plac4
- Młodzież z Niemenczyna odwiedziła powiat słupski.....5
- Ławeczka Ireny Kwiatkowskiej6
- Przez piaszczyste leśne drogi7
- Wojsko świętowało7
- Mieszkańcy ich wybrali.....8
- Za służbę9
- „Dzieciak” najlepszym filmem9
- Ustka sportowa9
- W bajkowym królestwie..... 10
- Wspaniałe dzieci, wspaniała młodzież!... 10
- Najwyższy poziom edukacji 11
- Nie tylko ekologicznie12
- Wakacje wiejskich dzieci12
- Stare bunkry nową atrakcją Ustki13
- Słupskie Cieśliki - piłkarska szkoła wychowania14
- Byliśmy w Wiedniu 16
- Co zapamiętamy po Euro 2012? 16
- Roznosi się zapach grillowanej karkówki... 18
- Paryż - stolica kulturalna świata19
- Trzeba mieć serce dla kultury..... 20
- Podzielić się duszą 23
- „Kultura, głupcze” 24
- Flagowiec powiatowej kultury..... 26
- Kaszubski Stolem 27
- Chłopskie dziedzictwo 28
- Małe jest piękne. Kościół w Objeździe 30
- Jak Zygmunt Szendzielorz przejął dowodzenie oddziałem kmicicowskim... 32
- Służył wiernym..... 36
- Mój przyjaciel dom 38
- Pancerniki..... 40

Nowe programy i przebieg

W okresie wakacyjnym Zarząd Powiatu Słupskiego odbył dziesięć posiedzeń, na których omówił piętnaście projektów uchwał Rady Powiatu i dwadzieścia cztery uchwały własne

Projekty uchwał Rady Powiatu (przygotowane na sierpniową sesję) dotyczyły m.in. przebudowy dróg powiatowych w Głównych, Smołdziński Las - Czołpino (i drogi gminnej), Dębica Kaszubska - Podwilczyn, budowy chodnika od miejscowości Przewłoka do miejscowości Zapadłe przy drodze powiatowej, przebudowy drogi powiatowej Bronowo - Jabłonec, współfinansowania przez Nadleśnictwo Leśny Dwór przebudowy drogi powiatowej Dębica Kaszubska - Podwilczyn (etap I). Dotyczyły też określenia tygodniowego obowiązkowego wymiaru godzin zajęć niektórych nauczycieli zatrudnionych w szkołach i placówkach prowadzonych przez powiat słupski, zawarcia umowy partnerskiej pomiędzy powiatem słupskim a gminami powiatu w sprawie dofinansowania przez gminy Powiatowej Olimpiady Dzieci i Młodzieży, nadania statutu Zespołowi Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce, przyjęcia Lokalnego programu ochrony zdrowia psychicznego dla miasta Słupska i powiatu słupskiego na lata 2012 - 2015 i przyjęcia Strategii rozwoju społeczno-go-

spodarczego powiatu słupskiego na lata 2012 - 2022.

Czterema uchwałami Zarząd Powiatu Słupskiego dokonał zmian w budżecie na 2012 rok. Wyraził też wolę zbycia nieruchomości niezabudowanej położonej w Ustce przy ulicy Kościuszki. Dwie kolejne uchwały dotyczyły przeprowadzenia konsultacji Lokalnego programu ochrony zdrowia psychicznego miasta Słupska i powiatu słupskiego na lata 2012 - 2015 z organizacjami pozarządowymi oraz z mieszkańcami powiatu. Do przygotowanego projektu programu nie zgłoszono żadnych uwag i propozycji.

Zarząd Powiatu zdecydował też o wprowadzeniu zmian do Regulaminu Organizacyjnego Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Dotyczą one między innymi liczby miejsc, która zwiększyła się z 107 do 112. Dokonał ponadto zmian w przeznaczeniu środków PFRON na rehabilitację społeczną osób niepełnosprawnych. Elżbietę Nowicką zgłosił na członka Rady Nadzorczej PKS SA. Zatwierdził przystąpienie PUP do realizacji projektu konkur-

sowego „Aktywna jesień życia” - obejmie on 24 bezrobotnych w wieku powyżej 50 lat.

Ogłoszony został otwarty konkurs ofert na zlecenie realizacji zadań z zakresu rehabilitacji zawodowej i społecznej osób niepełnosprawnych organizacjom pozarządowym oraz konkurs ofert na wspieranie wykonania zadań publicznych ujętych w Programie współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2012 rok. Ten drugi dotyczy zadań z zakresu ochrony i promocji zdrowia oraz kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury i dziedzictwa narodowego. Pierwsze obejmują programy edukacyjno-profilaktyczne kształtu-



Ryby wróciły na plac



Fot. J. Maziejuk

Wielu turystów z Polski przybyło na zorganizowane już po raz szesnasty Święto Ryby w Słupsku

Impreza odbyła się tradycyjnie na placu Zwycięstwa w sobotę, 18 sierpnia i spotkała się ze sporym zainteresowaniem. Przybyło wielu turystów z Polski. Na amatorów kuchni regionalnej czekało mnóstwo pysznych smakołyków, przygotowanych przez Kółka Gospodyń Wiejskich. Oprócz stoisk rybnych

wystawiono stoiska z rękodziełem artystycznym, a najmłodsi mogli zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z Sową - maskotką powiatu słupskiego.

W finale prezentacji gmin wręczono puchary ufundowane przez starostę słupskiego Sławomira Ziemianowicza za najpiękniejsze stoiska wystawiennicze i najciekawszy program artystyczny. Pierwsze

miejsze ex aequo zdobyły gminy: Smołdzino, Ustka i Słupsk. Drugie na podium uplasowały się gminy: Kobylnica i Główny oraz miasto Słupsk. Wyróżnienia za ciekawe prezentacje swoich walorów przyznano również gminom Damnica i Dębica Kaszubska. Nagrodę Marszałka Województwa Pomorskiego za najlepsze stoisko rybne dla Krajowej Izby Producentów Ryb w Ustce oraz puchar za najlepszą potrawę regionalną dla Wędzarni Ryb „Meduza” z Gardny Wielkiej wręczył członek Zarządu Województwa Pomorskiego Czesław Elzański.

Prezydent Słupska Maciej Kobyliński nagroził dokonania kulinarne gminy Słupsk i Kobylnica (I miejsce), Ustka i Smołdzino (II miejsce) oraz Słupska (III miejsce).

Na Stawku Łabędzim w Słupsku zorganizowano tradycyjnie Nieoficjalne Mistrzostwa Polski VIP w Wędkarstwie Śródlądowym. Zwycięzcą zmaganiń wędkarskich okazał się Marek Ziętek - członek Rady Nadzorczej APR „Ziemia Słupska”, drugie miejsce zajął wiceburmistrz Ustki Ryszard Kwiatkowski, zaś starosta słupski Sławomir Ziemianowicz wywalczył trzecie miejsce. **(D.Z.)**

Budowy kolejnych dróg

jące zachowania i style życia korzystne dla zdrowia, w tym zdrowia psychicznego. Na drugie zadanie, tj. na organizację spotkań i imprez poświęconych edukacji i popularyzacji zabytków przeznaczono 5 tys. zł.



Fot. J. Maziejuk

Kolejną uchwałą Zarząd zdecydował o użyczeniu miastu Ustka nieruchomości położonej w Ustce przy ulicy Marynarki

Polskiej 12 c (tzw. Czerwonej szopy) na realizację projektu Interface Plus współfinansowanego z środków europejskich w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Południowy Bałtyk 2007 - 2013. Projekt ten zakłada utworzenie Centrum Turystyki Morskiej w Ustce.

Zarząd Powiatu zapoznał się z informacją o przebiegu wykonania budżetu powiatu w pierwszym półroczu br. oraz o kształtowaniu się wieloletniej prognozy finansowej. Ustanowił szczegółowy sposób i tryb postępowania związanego z rozwiązaniem Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika w Ustce i Zespołu Szkół Technicznych w Ustce i utworzeniem Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce przy ulicy Bursztynowej 12. Powołał 17 komisji do przeprowadzenia egzaminów na stopień awansu zawodowego nauczyciela mianowanego. Józefowi Masłowskiemu powierzył stanowisko dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce - został on wyłoniony na kandydata na to stanowisko w drodze konkursu przeprowadzonego 13 marca br.. J. Masłowskiemu udzielił też pełnomocnictwa do dokonywania czynności prawnych związanych z kierowaniem bieżącą działalnością Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce.

Z innych spraw: Zarząd zapoznał się z wynikami konsultacji społecznych z miesz-

kańcami powiatu projektu Strategii rozwoju społeczno-gospodarczego powiatu słupskiego na lata 2012 - 2022, zatwierdził wyniki konkursów na wsparcie wykonania zadań publicznych ujętych w Programie współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2012 rok. Zapoznał się z raportem z realizacji Programu ochrony środowiska dla powiatu słupskiego na lata 2010 - 2011, ze średnimi wynagrodzeniami nauczycieli na poszczególnych stopniach awansu zawodowego w drugim kwartale br., ze sprawozdaniem z wykorzystania środków finansowych na doskonalenie zawodowe nauczycieli w I półroczu br., informacją o gospodarowaniu nieruchomościami powiatowymi oraz z naborem do szkół prowadzonych przez powiat słupski. Zarząd analizował sprawy gospodarki finansowej powiatu, uzgodnił dwie opinie dotyczące budowy drogi gminnej w Bydlinie i przebudowy ulicy Bukowej w Bierkowie. Wydał trzy postanowienia w sprawie uzgodnienia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla: fragmentu gminy Potęgowo - dla terenów obejmujących obszar w rejonie planowanej Farmy Wiatrowej Głuszyno, Kobylnicy-Północ - dla obszaru obejmującego działkę nr 205 i część działek nr 206, 207, 208, 209 oraz obejmujących wieś Sycewice.

Ewa Czyż

Wydział Organizacyjny

Grupa młodzieży z Litwy przyjechała do powiatu słupskiego w ramach rozwijającej się współpracy pomiędzy powiatem słupskim a miastem Niemenczyn. Młodzi Litwini przez tydzień mieszkali w Ustce i z przyjemnością korzystali z uroków kurortu. Niektórzy nigdy nie byli nad polskim morzem. Codziennie zażywali kąpeli w Bałtyku, grali w siatkówkę i cieszyli się każdym promieniem słońca. Niezapomnianym przeżyciem okazał się dla nich rejs morskim statkiem „Dragon”, podczas którego mogli nie tylko podziwiać usteckie wybrzeże, ale także bawić się przy dźwiękach „pirackiej muzyki.”

W Ustce w sezonie zawsze odbywają się ciekawe imprezy i już pierwszego dnia młodzież z Niemenczyna wybrała się na kabaret z udziałem znanego polskiego aktora Andrzeja Grabowskiego. Następne wieczory upływały też na miłych spotkaniach, rozmowach, śpiewie przy gitarze, występach karaoke i tańcach na dyskotekach.

Podczas całonocnej wycieczki do Trójmiasta młodzi Litwini zwiedzili gdańską starówkę, poznali historię Stoczni

Młodzież z Niemenczyna odwiedziła powiat słupski

Gdańskiej i „Daru Pomorza” w Gdyni. W wolnych chwilach uczestniczyli w zajęciach sportowych, rozgrywali mecze siatkówki i koszykówki. Do niezapomnianych należała również wizyta w Dolinie Charlotty w Strzelinku - w wiosce mongolskiej, nowo otwartej Krainie Bajek i zoo z nową częścią ogrodu, w której od niedawna zamieszkują różne gatunki małp i ptaków.

Najbardziej podobała się jednak wyprawa na wydmy do Słowińskiego Parku Narodowego i wizyta w Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach podczas „Dni z Muzyką i Chlebem”. Litewska młodzież mogła zobaczyć jak dawna kultura, stare szachulcowe chałupy i zagrody skansenu ożywają na czas tego letniego wydarzenia. **(D.Z)**

Najbardziej podobala się młodym Litwinom wyprawa na wydmy do Słowińskiego Parku Narodowego i wizyta w Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach

w ramach rozwijającej się współpracy

Ławeczka Ireny Kwiatkowskiej

Ustka wzbogaciła się o nową rzeźbę, odlaną z brązu „Ławeczkę Ireny Kwiatkowskiej”, usytuowaną na promenadzie nadmorskiej, w miejscu ulubionych spacerów i w punkcie podziwiania widoków marynistycznych przez wielką artystkę



Fot. Archiwum Autora

Uroczystość odsłonięcia ławeczki była dużym wydarzeniem, odbyła się w pełni sezonu turystycznego i zgromadziła liczne grono wielbicieli talentu uwielbianej polskiej aktorki. 25 lipca w promieniach silnego popołudniowego słońca wszyscy podziwiali doskonałą rzeźbę - postać Ireny Kwiatkowskiej siedzącą na ulubionej ławeczce, na prawo od niej pozostaje miejsce dla dwóch osób. Jest jak żywa - wtulona, wpatrzona w horyzont morski i śmiejąca się do przechodniów. Bratanica aktorki - kompozytorka Krystyna Kwiatkowska-Jabłońska nie miała słów podziwu za doskonałość przekazu. Wielokrotnie pozowała do zdjęć po odsłonięciu rzeźby z ukochaną ciotką. Pomnik zaprojektował i wykonał poznański rzeźbiarz i odlewnik Piotr Garstka. Ławeczka stylistyką przypomina zwój taśmy

filmowej, na której na jednym końcu siedzi drobna postać kobiety o wielkim sercu i zaprasza przechodniów do spoczynku.

Na uroczystość przybyła rodzina - najbliżsi, zaproszeni goście, wczasowicze i mieszkańcy pensjonatu ZAiKS, gdzie co roku artystka spędzała swoje wakacje. Byli też zauważeni przez dziennikarzy: aktorzy - Artur Barciś, Marek Barbasiewicz, publicyści - Daniel Passent i Agata Passent, starosta słupski Sławomir Ziemiałowicz, przedstawiciele samorządów Gdańska, Słupska i Ustki. Irena Kwiatkowska upodobała sobie Ustkę i jej okolice, często na spacerach spotykała się z mieszkańcami kurortu. W dowód uznania dla kunsztu artystycznego i wdzięczności za coroczne odwiedzanie Ustki władze miasta ufundowały jej to dzieło. Dużo zasług jest w tym burmistrza

Ustki Jana Olecha, który przy odsłonięciu rzeźby w ciepłych słowach przybliżył dokonania artystki. Żyła 98 lat, urodziła się w Warszawie, a zmarła w domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie 3 marca 2011 roku. Była największą wszechstronną artystką, występowała w teatrze i filmie, była aktorką dramatyczną, komediową i kabaretową. Współpracowała przez niemal sześćdziesiąt pięć lat z Polskim Radiem, była spikerką w audycjach dla dzieci, zasłynęła m.in. jako najlepsza odtwórczyni wierszy Brzechwy i Tuwima, a „Ptasie Radio” Tuwima w wykonaniu Ireny Kwiatkowskiej uchodzi za arcydzieło sztuki interpretacyjnej w XX wieku. Zagrała ponad sto ról teatralnych i dwadzieścia filmowych, m.in. w telewizyjnych - „Wojnie Domowej”, jako kobieta pracująca w „Czterdziestolatku”. Występowała w Kabarecie Dudek oraz w Kabarecie Starszych Panów.

Wspomnień na uroczystości o sławnej artystce było bez liku, tych z wielkiego świata i tych lokalnych, miejscowych. Aktor Artur Barciś wspominał, jak miał możliwość wystąpić w spektaklu z Ireną Kwiatkowską, opowiadał anegdoty humorystyczne z życia wielkiej aktorki i jak dzisiaj z nią rozmawiał... patrząc w niebo, przed przyjazdem do Ustki. Kompozytor Jerzy Derfel, długoletni akompaniator artystki przybliżył jej twórczość kabaretową i wykonał utwór grany na trąbce, którym otworzył całą wspaniałą uroczystość odsłonięcia ławeczki. Bratanica Krystyna Kwiatkowska-Jabłońska opowiadała o zasadach, którymi kierowała się wielka krewna - pracowitością, sumiennością i surowością w życiu oraz wielką religijnością. Ks. Dziekan Jerzy Wyrzykowski wspominał pobożność artystki i jej udział w niedzielnych mszach w kościele wiejskim filialnym pw. św. Bartłomieja w Możdżanowie, należącym do parafii Duninowo oraz o kilku odwiedzinach na plebani. Stanisław Bogusław Roskowiński z Możdżanowa i jego syn, obecnie ksiądz Michał Roskowiński mówili, że po każdej mszy św. w Możdżanowie pani Irena była wielokrotnie podejmowana na wspólnej kawie w ich mieszkaniu. Spotkania te służyły bliższemu poznaniu artystki, która w swoim życiu kierowała się głęboką wiarą, patriotyzmem i ustalonym systemem wartości.

Niżej podpisany wspomina przypadkowe spotkanie z Ireną Kwiatkowską na mszy niedzielnej w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela w Ustce. W kościelnej ławce było wolne miejsce obok mnie, opiekunka posadziła tam przed mszą leciwą już panią Irenę. Gdy organy zagrały „Kiedy rano wstają zorze...” - pani Irena pięknie zaczęła śpiewać, natomiast na moje pseudośpiewanie zwróciła uwagę, pytając, dlaczego tak słabo śpiewam i nie otwieram ust. Powiedziałem, że przechodzę wieczną mutację. Otrzymałem szybką ripostę: „proszę mnie naśladować - pana nauczę...”

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Przez piaszczyste leśne drogi

Rad odbył się 28 lipca br. Oficjalnego otwarcia przed słupskim starostwem dokonał starosta Sławomir Ziemianowicz z posłem na sejm RP Zbigniewem Konwińskim, Krystyną Kądziałą - żoną zmarłego starosty i Ewą Młynarczyk - dyrektorką Domu Pomocy Społecznej w Machowinie. Rajd organizują powiatowe domy pomocy społecznej oraz Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych „Przyjaciół”, jego trasa prowadzi ze Słupska do trzech domów - w Lubuczewie, Machowinku, Machowinie i w każdym roku na zmianę w innym domu odbywa się jego uroczyste zakończenie. W tym roku wypadło w Machowinie.

Wszyscy uczestnicy rajdu przed wyruszeniem na trasę otrzymali okolicznościowy znaczek oraz specjalny folder przedstawiający historię imprezy. Tradycyjnie pierwszym etapem było dotarcie na cmentarz w Słupsku i złożenie wieńca oraz zapalenie zniczy na grobie św. pamięci Stanisława Kądziali - pierwszego starosty słupskiego po reformie administracyjnej kraju w 1998 roku. Kolejnym miejscem, do którego zawitali rajdowicze, był Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Dyrektor Marianna Kawiecka zaprosiła tu cyklistów na specjalnie przygotowany poczęstunek. Po godzinnym odpoczynku i nabraniu sił rajd ruszył w dalszą trasę - do Machowinka. Był to najtrudniejszy odcinek do pokonania. Wiódł przez piaszczyste leśne drogi. Jednak trud zmagania się z własną słabością został też

wynagrodzony zaproszeniem przez organizatora na posiłek. Zwłaszcza zimne lody okazały się świetną rekompensatą. Dyrektor Marek Król obdarował najmłodszego uczestnika rajdu 3,5-letniego Daniela przygotowanym prezentem.

Ostatni etap prowadził do Domu Pomocy Społecznej w Machowinie. Tutaj witano cyklistów fnfarami. Dyrektor Ewa Młynarczyk pogratulowała wszystkim wytrwałości i zaprosiła na dalsze atrakcje przygotowane w związku z obchodzonym jubileuszem. Wypuszczono dziesięć symbolicznych balonów, najdzielniejszym rajdowiczom wręczono statuetki, rozlosowano dwa rowery, zaproszenie na koncerty Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty i upominki. Wszystkie dzieci otrzymały słodczyce. Cyklistom przygrywał zespół „Kwiat Paproci”, a pięknie zaśpiewała Natalia Gąsiora. **(DPS)**



Fot. J. Maziejuk

X Jubileuszowy Rajd Rowerowy imienia Stanisława Kądziali zgromadził blisko 160 uczestników

Wojsko świętowało



Fot. J. Maziejuk

15 sierpnia Wojsko Polskie obchodzi święto na pamiątkę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej, stoczonej w 1920 roku z bolszewikami

Tegoroczne obchody w Słupsku miały podniosły, lecz kameralny charakter. Uroczystości, w których udział wzięli samorządowcy, ze starostą słupskim Sławomirem Ziemianowiczem i zastępcą prezydenta miasta Słupska Andrzejem Kaczmarczykiem oraz przedstawiciele służb mundurowych, rozpoczęły się od mszy odprawionej za ojczyznę w kościele garnizonowym przy ulicy Westerplatte. Na placu defiladowym 7. Brygady Obrony Wybrzeża odbył się uroczysty apel, podczas którego odznaczono kilkudziesięciu żołnierzy m.in. Gwiazdą Iraku i Afganistanu oraz medalami za Zasługi dla Obronności Kraju. Nie zabrakło również defilady i salwy honorowej.

Uroczystości zakończyły się na placu Zwycięstwa, gdzie delegacje żołnierzy, weteranów i samorządowców oddały hołd obrońcom ojczyzny, składając kwiaty i wieńce pod pomnikiem Żołnierza Polskiego. **(D.Z.)**

odznaczenia i honory

Mieszkańcy ich wybrali...

ANDRZEJ BURY

Fot. Archiwum



Pochodzę... z Piły, a od 1984 roku jestem mieszkańcem Ustki.

Wiek... 57 lat.

Wykształcenie... wyższe techniczne, ukończyłem budownictwo lądowe na Politechnice Poznańskiej.

Pracuję w... Starostwie Powiatowym w Słupsku na stanowisku wicestarosty słupskiego.

Moja rodzina... to żona Irena i dwoje dorosłych dzieci - córka Kasia i syn Marcin, jestem także szczęśli-

wym dziadkiem wnuczki Mai i wnuka Konrada.

Z samorządem jestem związany od... 1994 roku, kiedy zostałem radnym i członkiem Zarządu Miasta Ustki. W 2006 roku rozpocząłem pracę w Radzie Powiatu Słupskiego i kontynuuję ją do chwili obecnej, jednocześnie pracując jako wicestarosta słupski.

Zostałem radnym, bo... praca dla innych jest dla mnie wyzwaniem i staram się je realizować na różnych płaszczyznach - w sporcie, polityce i samorządzie.

Realizuję się w pracach komisji... Rolnictwa, Środowiska i Bezpieczeństwa Publicznego, a przede wszystkim jako wicestarosta słupski.

Dobry samorządowiec to... człowiek rozumiejący potrzeby innych oraz lokalnego środowiska, który zna swój teren, utożsamia się z jego problemami i jest otwarty na ludzi.

Atutem powiatu słupskiego jest... przede wszystkim nadmorskie położenie. Na atrakcyjność naszego regionu wpływają także licz-

ne jeziora, rzeki i parki - narodowy i krajobrazowy. Na szczególną uwagę zasługują ciekawi ludzie, którzy przyjechali na te tereny z różnych stron przedwojennej Polski, co sprawiło, że nasz region jest niezwykle różnorodny kulturowo.

Gościom najczęściej pokazuję... w pierwszej kolejności moją ukończoną Ustkę oraz stolicę Krainy w Kratę - Swołowo, Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach, Dolinę Charlotty, pałac w Warcinie wraz Centrum Edukacji Regionalnej. Jeśli goście są dłużej to odwiedzamy inne ciekawe miejsca, których w powiecie słupskim nie brakuje.

W ludziach cenię... najbardziej uczciwość i szczerość. Nie do przecenienia jest także zaangażowanie, bo zawsze warto wychodzić ponad przeciętność.

Najbardziej nie lubię... zarożumiałości. Niezwykle drażnią mnie ludzie wszechwiedzący.

Moja największa zaleta i wada... nigdy nie oceniam sam siebie, mam jednak nadzieję, że bliscy doceniają moje zalety i tolerują wady.

Ulubione miejsce na wypoczynek... morze mam na co dzień, więc najchętniej wypoczywam w górach. Bardzo cenię sobie także pobyt nad jeziorem, gdzie mogę cieszyć się przyrodą i spokojem. Nie ma jak to wsiąść na łódkę, wypłynąć na jezioro i trochę powędkować.

Mój największy sukces... trudno podać jeden spektakularny, niemniej parę mniejszych by się znalazło. Kiedyś to były sukcesy sportowe, później spełniałem się jako ojciec, a teraz jako dziadek. Zawodowo cieszę się z wielu wybudowanych obiektów służących ochronie środowiska, w tym oczyszczalni ścieków w Ustce. Obecnie dużo satysfakcji daje mi praca w samorządzie, równocześnie dobrze służąca innym ludziom. Pozwala ona także kreować rozwój powiatu.

Największe marzenie... żeby ludzie byli ludźmi, bo tego mi najbardziej brakuje we współczesnym świecie.

Motto życiowe... szlachetny człowiek wymaga od siebie, prostak od innych (Konfucjusz).

ANDRZEJ WOJTASZEK

Fot. Archiwum



Pochodzę... urodziłem się w Kraśniku w województwie lubelskim, gdzie spędziłem pół mojego dotychczasowego życia, od dwudziestu dwóch lat mieszkam w gminie Kobylnica.

Wiek... 44 lata.

Wykształcenie... wyższe magisterskie na kierunku pedagogika. Ukończyłem również studia podyplomowe z wychowania fizycznego oraz menagera sportu.

Pracuję w... jestem dyrektorem Szkoły Podstawowej w Kwakowie.

Moja rodzina... to żona Irena oraz dwoje dzieci - córka Ola studiuje psychologię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, syn Jakub jest studentem Uniwersytetu Gdańskiego na kierunku ekonomia.

Z samorządem jestem związany od... 1998 roku, przez dwie kadencje byłem radnym gminy Kobylnica, gdzie pełniłem funkcję zastępcy przewodniczącego Komisji Oświaty, Kultury i Sportu oraz przewodniczącego Komisji Budżetu, Rozwoju Gospodarczego i Rolnictwa. Od 2006 jestem radnym powiatu słupskiego, w pierwszej kadencji pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Budżetu i Finansów oraz Rozwoju Powiatu.

Zostałem radnym, bo... tak zdecydowali wyborcy. Zawsze byłem społecznikiem, współorganizowałem dużo imprez sportowych i festynów w gminie Kobylnica, w czasie których często rozmawiałem z ludźmi o problemach życia codziennego, i tak zostałem ich „ambasadorem”. Mam nadzieję, że się na mnie nie zawiedli. **Realizuję się w pracach komisji...** obecnie jestem członkiem Zarządu Powiatu Słupskiego oraz pra-

cuję w Komisji Rolnictwa, Środowiska i Bezpieczeństwa Publicznego.

Dobry samorządowiec to... osoba, która mało mówi, ale dużo robi. Najważniejsze, by realizowała obietnice wyborcze oraz myślała globalnie i współpracowała z innymi dla ogólnego dobra.

Atutem powiatu słupskiego jest... nie będę oryginalny, ale to przede wszystkim nadmorskie położenie oraz piękne parki i czyste powietrze.

Gościom najczęściej pokazuję... starówkę słupską wieczorową porą, Zamek Książąt Pomorskich, Ustkę, Rowy, a tym, którzy szukają spokoju, polecam Poddąbie oraz Dolinę Charlotty w Strzelinku.

W ludziach cenię... szczerość, a także wierność swoim ideałom.

Najbardziej nie lubię... bufonady oraz ludzi, którzy dla kariery są gotowi sprzedać się i zdradzić przyjaciół.

Moja największa zaleta i wada... moje zalety znają przyjaciele, a ci co mi źle życzą, pewnie znają moje wady.

Ulubione miejsce na wypoczynek... to dom, a ostatnio za sprą-

wą mojego czworonożnego pupila poznaję uroki leśnych wędrówek, wciąga mnie też nordic walking. Zimą natomiast lubię poszusować na nartach.

Mój największy sukces... to organizacja Biegu Olimpijskiego w Kwakowie - w tym roku była to już jego jedenasta edycja. Na północy Polski to największa impreza pod patronatem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Sukcesy zawodowe i samorządowe natomiast małymi kroczkami właśnie się realizują...

Największe marzenie... marzenia zostawiam dla siebie, a tak naprawdę to najważniejsze jest zdrowie, bez którego marzenia tracą blask. Właśnie dobrego zdrowia życzę wszystkim, jak również sobie, bym mógł realizować swoje marzenia.

Motto życiowe... „Boże, daj mi cierpliwość, bym pogodził się z tym, czego zmienić nie jestem w stanie. Daj mi siłę, bym zmienił to, co zmienić mogę. I daj mi mądrość, bym odróżnił jedno od drugiego” (Marek Aureliusz).

Zanotowała:
Maria Matuszewska

Za służbę

Marianna Matias - dyrektor Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku została odznaczona Złotym Medalem za Długoletnią Służbę

Medal przyznał prezydent RP Bronisław Komorowski na wniosek starosty słupskiego. M. Matias może pochwalić się 35-letnim okresem nienaganej pra-

cy. Medal w imieniu prezydenta wręczył jej wicewojewoda pomorski Michał Owczarczak. Jest to polskie odznaczenie cywilne z okresu II Rzeczypospolitej,

nadawane za pracę w służbie państwowej. Przywrócone zostało do systemu odznaczeń państwowych w Polsce w 2007 roku. (zko)



„Dzieciak” najlepszym filmem

W Ustce odbył się IX Ustecki Festiwal Filmów Amatorskich UFF(O)A

Do tegorocznego konkursu zgłoszono 27 filmów. Jury w składzie: Joanna Gajdo - przewodnicząca, Daniel Odija i Janusz Bohdziewicz - członkowie zdyskwalifikowało pięć filmów ze względów regulaminowych i zakwalifikowało do pokazu konkursowego 17. Grand Prix (siedmiodniowy

pobyty w Domu Wczasowo-Sanatoryjnym „Perła” w Ustce) otrzymał Bartek Tryzna za film „Dzieciak”. Pierwszą nagrodę w kategorii filmu dokumentalnego przyznano Krzysztofowi Nowickiemu za film „21”, a w kategorii filmu fabularnego - animowanego - Benjaminowi Szwedowi za

film „Rosa Alba”. Wyróżnienia otrzymali Łukasz Bursa za film „Badzioch”, Agnieszka Opty i Dominik Krawczyk - za „Film dla dorosłych”.

Nagrodę publiczności zdobyła Marta Ryba za film „Rzemiosło to sztuka”. (J.Ł.)

W olimpiadzie wzięło udział ponad 5 tys. młodych sportowców z powiatu słupskiego. W uroczystym podsumowaniu, które odbyło się 13 czerwca br. w siedzibie starostwa, oprócz laureatów olimpiady, trenerów i wychowawców wzięli udział dyrektorzy nagrodzonych szkół, wójtowie miast i gmin, samorządowcy z powiatu.

W kategorii dziewcząt szkół podstawowych zwyciężyły uczennice ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustce, przed dziewczętami ze Szkoły Podstawowej w Pobłociu i Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce. W kategorii chłopców zwyciężyli uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Kępicach przed chłopcami ze Szkoły Podstawowej nr 2 i nr 1 w Ustce.

W punktacji generalnej szkół podstawowych zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce przed Szkołą Podstawową nr 1 w Ustce i Szkołą Podstawową w Kępicach.

W kategorii dziewcząt gimnazjów pierwsze miejsce zajęło Gimnazjum w Potęgowie, drugie - Gimnazjum w Kobylnicy, a trzecie - Gimnazjum w Smołdzinie. W kategorii chłopców pierwsze miejsce zajęły Gimnazja w Kobylnicy i Potęgowie, drugie

Ustka sportowa

W Słupsku podsumowano wyniki tegorocznej Powiatowej Olimpiady Dzieci i Młodzieży we współzawodnictwie sportowym



- Gimnazjum w Smołdzinie, a trzecie - Gimnazjum w Jeżierzycach.

W punktacji generalnej zwyciężyło Gimnazjum w Potęgowie przed Gimnazjami w Kobylnicy i Smołdzinie oraz Gimnazjum w Ustce.

W punktacji gmin pierwsze miejsce zajęła Ustka, drugie - gmina Kobylnica, a trzecie - gmina Kępice.

Najlepsi odebrali dyplomy, puchary i nagrody w postaci sprzętu sportowego. (D.G.)

Fot. J. Mazięjuk

najlepsi w sporcie

W bajkowym królestwie

Na VI Ogólnopolski Zjazd Maskotek w Rowach zjechały najpiękniejsze pluszaki z całej Polski

Fot. M. Matuszewska



Pluszaki reprezentowały samorządy, instytucje, organizacje społeczne, a także różne służby. Na tegorocznym zlocie nie zabrakło również maskotki powiatu słupskiego - Sowy. Oprócz stałych bywalców pojawili się też nowi goście: Głuszec z Zawoi czy Pokoś z powiatu kościerskiego.

Akcja ta to największa, interdyscyplinarna kampania edukacyjna w Polsce, kreująca w dzieciach dobre postawy, ucząca poszanowania dla innych ludzi, a także premiująca zachowania prospołeczne i wolontariat. Głównym elementem pierwszej edycji akcji był konkurs skierowany do uczniów 1500 szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, który każda szkoła prowadziła samodzielnie na podstawie tych samych zasad. Od początku semestru dzieci konkurowały w robieniu dobrych uczynków w trzech kategoriach: pomagania drugiemu człowiekowi, zaangażowaniu się w środowisko klasy, szkoły, społeczności lokalnej oraz działaniach na rzecz praw człowieka i ochrony środowiska. Na koniec roku szkolnego dzieci pod okiem wychowawcy wybierały w każdej klasie ucznia, który okazał się najlepszy i wśród najlepszych z całej szkoły został rozlosowany rower górski - główna indywidualna nagroda za udział w konkursie.

Akcję wymyśliło Stowarzyszenie „Przyjazna Szkoła” i po raz pierwszy realizowano ją w kilkudziesięciu śląskich szkołach w 2003 roku. W tym roku stowarzyszenie opracowało nową formułę projektu i po raz pierwszy zrealizowało go w takiej skali, w szkołach w całej Polsce. Każda placówka dostała w paczce rower, multimedialny pakiet edukacyjny „Akademia Umysłu 2” do szkolnej biblioteki oraz baner akcji do powieszenia na szkolnym korytarzu. Oprócz logo patronów i sponsorów głównym ma on 52 miejsca na naklejki, które może wykupić każda firma lub osoba prywatna, przyczyniając się tym samym do czynienia dobra. Jedna naklejka kosztuje 100 zł, a można wykupić od 1 do 1500 takich cegiełek. Oczywiście szkoła to miejsce, w którym uczą się dzieci, więc to, co może się znaleźć na takiej naklejce, dokładnie określa regulamin sponsora. Cała akcja jest koordynowana przez infolinię, gdzie kilkudziesięciu konsultan-

Wspaniałe dzieci, wspaniała młodzież!

Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce bierze udział w akcji „Warto być dobrym”, organizowanej pod patronatem Ministra Edukacji Narodowej oraz UNESCO

tów informuje o wszelkich szczegółach. Dzieci najaktywniejszych szkół otrzyma jesienią granty po 10 tysięcy złotych, które będzie mogło przeznaczyć na pożyteczny cel.

- W najśmielszych scenariuszach i najskrytszych marzeniach nie liczyliśmy na taki sukces akcji. Dzieci czyniące dobro zaskoczyły nas nie tylko swoją kreatywnością i wytrwałością, ale przede wszystkim odwagą w promowaniu pozytywnych postaw. Setki tysięcy osób czyniących dobro, miliony godzin ofiarowane innym ludziom, a wszystko to za darmo - bez oczekiwania na zapłatę. Teraz, kiedy zadadzą mi pytanie: Jakie mamy dzieci i młodzież? - odpowiem, że wspaniałe! A my, dorośli, powinniśmy brać z nich przykład. Każdy z nas może wesprzeć drugą edycję akcji, by kolejne szkoły mogły wziąć w niej udział - mówi Aleksander Komaniecki, prezes Stowarzyszenia „Przyjazna Szkoła”.



Stowarzyszenie to działa już jedenaście lat i jest największą organizacją pozarządową w sektorze edukacji w Polsce. Swoimi projektami i akcjami obejmuje cały kraj i prawie 8 tysięcy szkół partnerskich. Organizacja ta przekazała już na rozwój edukacji 27 milionów złotych. Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce istnieje już dwadzieścia dziewięć lat i uczy się w niej 570 uczniów. Są to dzieci z miasta i gminy. Wszystkie klasy włączyły się do w akcji.

Leokadia Kuper, Ustka

robią dobre uczynki i konkurują o 10 tysięcy złotych

Na zaproszenie powiatowej Sowy na zlot przybyła również Żaba - maskotka Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Po raz pierwszy w Rowach pojawiła się maskotka z Brennej - gminy partnerskiego powiatu cieszyńskiego.

W sobotę (21 lipca) przed południem maskotki odwiedziły małych pacjentów na oddziałach dziecięcych Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku. Wizyta ta była dla dzieci wielkim zaskoczeniem. W Rowach po południu ruszyło miasteczko namiotowe. Stoisko powiatu słupskiego było szczególnie oblegane. Turyści dopytywali o atrakcje i szukali pomysłów na miłe spędzenie urlopu na ziemi słupskiej. Zainteresowaniem cieszyły się mapy powiatu, miłośnicy wycieczek rowerowych wręcz rozchwytywali nowy przewodnik „Z rodziną na dwóch kółkach”, w którym można znaleźć opisy najważniejszych szlaków rowe-

wych. Rodzice chętnie pytali też o propozycje na wakacje dla dzieci, a konkurs rysunkowy na najpiękniejszą Sowę powiatową przyciągnął wielu zdolnych rysowników.

Na tegorocznym zjeździe obecna była grupa młodzieży z partnerskiego miasta Niemenczyn, po raz drugi uczestniczył w nim partnerski powiat bełchatowski i zachęcał dzieci do wspólnej zabawy z pluszowym Lwem, z którym przyjechał.

Największą atrakcją pierwszego dnia był kolorowy pochód maskotek. Ulubieńcy milusińskich chętnie pozowali do pamiątkowych zdjęć, przytulali najmłodszych i zapraszali do wspólnej zabawy. Plebiscyt na najsympatyczniejszą maskotkę wygrał Krecik z „Radia Piekary”. Publiczność bawiła się przy największych przebojach Anny Jantar i afrykańskich rytmach z Czarnego Łądu. Niekwestionowaną gwiazdą okazał się Filipińczyk Conrado Yanez - finalista po-

pularnego programu rozrywkowego „Must be the Music”. Niepowtarzalna barwa głosu wokalisty i cały jego występ zachwycił publiczność.

W niedzielę po południu oficjalnie otwarto Miejsce do Przytulania przy Centrum Informacji Turystycznej. Każdy, bez względu na wiek, mógł się tu tulić do maskotek do woli. Każda maskotka zawiesiła w miejscu tym na pamiątkę pobytu swoją kłódkę.

Ogólnopolski Zjazd Maskotek w Rowach jest jedną z ciekawszych letnich imprez dla dzieci nad morzem. Jest to też doskonała okazja na zabawę w towarzystwie całej rodziny. Bardzo przyjemnie jest być chociaż przez chwilę w takim bajkowym królestwie.

Dobrochna Zawisza
Oddział Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku

24 lipca br. odbyła się konferencja zamykająca realizację projektu „Przebudowa i doposażenie laboratorium - „Edukacyjne Centrum Zarządzania Kryzysowego Akademii Pomorskiej w Słupsku”. Projekt, o którym już pisaliśmy, realizowała Akademia w partnerstwie ze słupskim starostwem, a został on sfinansowany z Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Pomorskiego na lata 2007 - 2013.

Dzięki projektowi powstała unikatowa w skali Polski infrastruktura dydaktyczna do kształcenia studentów i doskonalenia zawodowego specjalistów bezpieczeństwa. Przebudowana i wyposażona w nowoczesny i specjalistyczny sprzęt infrastruktura dydaktyczna umożliwi rozszerzenie oferty dydaktycznej AP w Słupsku i pozwoli na uruchomienie takich nowych specjalności, jak: bezpieczeństwo żegluga morskiej i portów, bezpieczeństwo teleinformatyczne, wdrożenie do procesu kształcenia nowych metod opartych na technologii ICT, w tym kształcenia w systemie blended learning. Wszystko to pozwoli podnieść jakość kształcenia studentów oraz doskonalenia zawodowego personelu bezpieczeństwa jednostek samorządowych. Wysokiej jakości sprzęt stworzy też możliwość prowadzenia badań naukowych na temat poziomu bezpieczeństwa.

W ramach projektu zmodernizowano istniejącą infrastrukturę Laboratorium „Edukacyjne Centrum Zarządzania kryzysowego” (m.in. salę operacyjną pracy zespołów zarządzania kryzysowego, salę służby dyżurnej i analityków oraz salę konferencyjną - komunikacji społecznej); wybudowano trzy nowe pracownie (systemów wspomaganie zarządzania kryzysowego, systemów bezpieczeństwa teleinformatycznego oraz systemów bezpieczeństwa żegluga morskiej i portów). Pozwolą one uruchomić nowe specjalności. Powstały również stanowiska edukacyjne



Fot. M. Matuszewska

w powiatowym centrum zarządzania kryzysowego oraz w strukturach zarządzania kryzysowego miasta Słupska i w dziesięciu gminach powiatu. Uruchomiono też platformę e-learningową, która docelowo będzie udostępniona mieszkańcom powiatu.

Laboratorium doposażono w dwa symulatory oparte na technologiach informatycznych (symulator systemów łączności oraz symulator morskiego systemu bezpieczeństwa GMDSS), specjalistyczny sprzęt łączności wykorzystywany w systemie zarządzania kryzysowego, a także oprogramowanie specjalistyczne wspomaganie zarządzania kryzysowego. Wykonano nowoczesne narzędzia wsparcia kształcenia studentów - generator scenariuszy sytuacji kryzysowych, trójwymiarową wizualizację miasta Słupska i ważniejszych elementów infrastruktury krytycznej na terenie powiatu.

Dzięki projektowi od roku akademickiego 2012/2013 Akademia Pomorska w Słupsku będzie jedyną w Polsce uczelnią wyższą kształcąca na kierunku bezpieczeństwo narodowe, posiadającą infrastrukturę dydaktyczną do kształcenia praktycznego studentów odpowiadającą wyzwaniom XXI wieku, a powiat słupski dysponować będzie modelowymi rozwiązaniami w tej dziedzinie.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Najwyższy poziom edukacji

W nowym roku akademickim studenci kierunku bezpieczeństwo narodowe na Akademii Pomorskiej w Słupsku będą kształcić się w najnowocześniejszym w kraju edukacyjnym centrum zarządzania kryzysowego

Nie tylko ekologicznie

Z projektów „Zwierzęta naszymi przyjaciółmi” i „Ratujmy pszczoły” będą mogli skorzystać młodzi i starsi mieszkańcy powiatu słupskiego



wewnątrzszkolnych zaplanowano na koniec listopada. Dla uczniów przygotowano m.in. konkurs plastyczny pt. „Dbamy o zwierzęta zimą” i konkurs na wykonanie karmnika lub psiej budy pt. „Bezpieczne schronienie dla zwierząt”. Na ich laureatów czekają atrakcyjne nagrody.

Drugi projekt „Ratujmy pszczoły” jest skierowany do rolników, ogrodników, pszczelarzy oraz wszystkich zainteresowanych osób, które stosują środki ochrony roślin, ale także do dzieci i młodzieży w wieku od 7 do 18 lat zamieszkujących w wiejskich gminach powiatu. Ten z kolei ma na celu zwrócenie uwagi na problem ginących pszczół oraz przekonanie jego uczestników do prawidłowego stosowania środków ochrony roślin oraz preparatów całkowicie bezpiecznych dla owadów, a także rozwinięcie wrażliwości ekologicznej u dzieci i młodzieży. Zostanie zorganizowana konferencja oraz konkurs fotograficzny pt. „Co w trawie piszczy?” z atrakcyjnymi nagrodami dla dzieci i młodzieży uczęszczającej na zajęcia do świetlic wiejskich. Podczas konferencji eksponowany będzie temat znaczenia i roli pszczół w produkcji roślinnej, a także najważniejszej kwestii - ich bezpieczeństwa w czasie stosowania przez rolników i ogrodników zabiegów agrotechnicznych. Przewidziano również kiermasz produktów pszczelich, który przygotują lokalni hodowcy pszczół.

Regulaminy wszystkich konkursów dostępne są w gminnych ośrodkach kultury, a także w siedzibie SITR przy ulicy 3 Maja 44 w Słupsku.

Agnieszka Znamirowska, Słupsk

Fot. J. Maziejuk

konkursy z atrakcyjnymi nagrodami

Projekty zrealizuje Stowarzyszenie Naukowo-Techniczne Inżynierów i Techników Rolnictwa w Słupsku, które od trzydziestu pięciu lat pracuje na rzecz mieszkańców wsi. Tym razem będą to działania z zakresu ekologii i ochrony zwierząt oraz ochrony dziedzictwa przyrodniczego, współfinansowane przez słupskie starostwo. Pierwszy projekt jest skierowany do uczniów w wieku od 7 do 16 lat szkół podstawowych i gimnazjalnych w gminach wiejskich powiatu. Głównym jego celem jest wpojenie dzieciom i młodzieży postaw związanych z poszanowaniem, ochroną i opieką nad zwierzętami oraz zmotywowanie do ak-

tywnego działania na rzecz zwierząt. Działania będą polegały na zorganizowaniu dla dzieci i młodzieży ośmiu spotkań edukacyjno-informacyjnych oraz kilku konkursów z atrakcyjnymi nagrodami.

Spotkania będą wzbogacone dyskusją, pogadankami i prezentacjami przygotowanymi przez wykwalifikowanych wykładowców i specjalistów. Wszystko to po to, aby rozbudzić ciekawość i zrozumienie wobec otaczającego nas świata zwierząt oraz zwrócić uwagę najmłodszych na odpowiedzialność, jaką ponosi człowiek za zwierzęta, szczególnie za te, które sam udomowił. Finał powiatowy konkursów

Dzieci wiejskie z powiatu słupskiego dzięki wsparciu finansowemu Pomorskiego Kuratorium Oświaty w Gdańsku spędziły kilka dni wakacji na Kaszubach w Potęgowie, znanej miejscowości letniskowej na skraju lasów mirachowskich w gminie Linia

Wakacje wiejskie

W końcu XIX wieku wieś należała do powiatu kartuskiego, miała 600 mórg obszaru wraz z jeziorem, pięciu gburów i jednego zagrodnika. Wieś znana jest poza tym jako miejsce urodzenia matki księdza Bernarda Sychty - kaszubskiego pisarza i największego leksykografa kaszub i Kociewia. Polodowcowe jeziora wypełniają zagłębienie w morenie dennej zwanej Rynną Potęgowską. Wokół rozciąga się jeden z większych kompleksów leśnych - lasy mirachowskie.

Dla dzieci z gmin: Smołdzino, Ustka i Kępice czas od 17 do 31 lipca był wyjątkowy. Zadbał o to komendant obozu Bogdan For-



Budzą zainteresowanie zwłaszcza gdy pada deszcz i nie ma plażowej pogody. Oprawdają po nich przewodnicy w strojach historycznych: żołnierza polskiego z 1939 roku i żołnierza radzieckiego z 1945 roku. Bunkry to pozostałości po baterii zaporowej i przeciwlotniczej „Bluecher”, zbudowanej przez Niemców w latach 1937 i 1938. Składają się na nie cztery działobitnie żelbetonowe, przygotowane



Fot. J. Maziejuk

pod działa 105 mm oraz bunkier dalmierza i agregatorowni. Niemcy wzniesli te fortyfikacje z myślą o ochronie portu w Ustce, który w tym momencie zaczął być przez nich rozbudowywany do wielkich rozmiarów. Chcieli przez Ustkę puścić transport między Rzeszą a Prusami Wschodnimi, z omińnięciem ówczesnego polskiego „korytarza”. Ustka nabrała wówczas dla III Rzeszy znaczenia strategicznego.

Rewitalizacja tych obiektów rozpoczęła się kilka lat temu dzięki staraniom pasjonatów usteckiej historii, m.in. Piotra Wszółkowskiego, ówczesnego naczelnika Wydziału Promocji Urzędu Miejskiego w Ustce i Stowarzyszenia Miłośników Fortyfikacji w Ustce. W ich rozpropagowaniu pomógł przewodnik „Twierdza Ustka”, którego drugie, uaktualnione wydanie, ukaze się wkrótce. Co ciekawe, ten zmilitaryzowany przez Niemców w czasach Hitlera teren

był już wcześniej terenem rekreacyjnym. W drugiej połowie XIX wieku znajdowało się tutaj kąpielisko męskie - odpowiednik damskiego, które usytuowane było mniej więcej na wysokości środka dzisiejszej usteckiej promenady.

Teraz to znowu teren rekreacyjny. Od pierwszego lipca 2012 oprowadzają po nim przewodnicy w mundurach. Polski żołnierz z 1939 roku opowiada, jak przyśnił się niemieckim rezerwistom w koszmarnym i zarazem proroczym śnie na samym początku II wojny światowej, gdy obsadzali tę baterię. Żołnierz radziecki - jak zajmował ją w latach 1945 - 1947. Każda taka wycieczka to przeżywanie i poznanie skomplikowanej historii naszego regionu, zaprawiona nie militaryzmem, lecz dozą filozoficznego humoru. Takie jest przynajmniej założenie organizatorów. (mb)

Stare bunkry nową atrakcją Ustki



Fot. J. Maziejuk

Ponemieckie fortyfikacje po zachodniej stronie ustckiego portu można już zwiedzać

ich dzieci



Fot. J. Maziejuk

mela, znany działacz harcerski oraz harcerki Maria Wrońska i Weronika Zinke. Zwykła różniaczka ciekawość motywowała uczestników obozu, dziewczęta i chłopcy, do współpracy i rywalizacji sportowej, edukacyjnej oraz turystycznej. Obóz odwiedził Jan Maziejuk, znany słupski fotografik. Opowieści wnuków, stałych mieszkańców Witkowa w gminie Smółdzino, przywołały dawane wspomnienia. Kiedy wnukowie wrócili do domu, opowieściom dzieci i dziadka nie było końca. Chłopcy wspominali niedawne zabawy, dziadek wracał w odległy czas.

- Najpierw od czasu do czasu, zastępując starszych braci Antka lub Heńka, a po śmierci matki obowiązkowo pełniłem obowiązki potrzódki. Od połowy maja, kiedy zaczynało wypas, do połowy października wstawałem około piątej rano, pakowałem do płóciennej torby dwa jajka na twardo, kawałek zasolonej słoniny i chleba, blaszankę kawy zbożowej i siedłem za

krowim ogonem. Właściwie za dwoma, bo w gospodarstwie były zazwyczaj dwie krowy. Wieczorem razem z pastuchem zganiałem bydło do wsi, około 80 krów i cieląt. Latem nie było kłopotu, ale w czasie nauki albo opuszczałem lekcje, albo pomagałem zagnać krowy na odległe pastwisko, wracałem do domu i biegłem do Witulina do szkoły. Co to była za nauka, gdy nogi bolały i spać się chciało.

Długi letni dzień na pastwisku trzeba było wypełnić. Nie zabierałem książek, czytanie nie było moją mocną stroną. Byłem natomiast mistrzem w łowieniu ryb różnymi metodami. W dołach po wydobywaniu torfu tworzyły się wodne zastoiny. Wystarczyło zamącić wodę, a ryby wypływały za powietrzem. Trzeba było zręcznie zarzucić wiklinowy kosz i wyciągnąć. Najczęściej były w nim karasie, czasem lin lub szczupak. Na posiłek dla rodziny w sam raz - wspomina J. Maziejuk.

- Później - szczerze opowiada pan Janek - łowiliśmy inaczej. W 1944 roku, gdy przetończył się front, znajdowaliśmy porzuconą broń, głównie granaty niemieckie i rosyjskie i pancerna. Były wszędzie, najwięcej na starym unickim cmentarzu w Terebeli, na którego skraju doszło do starcia. Obok cmentarza gościńcem ganiałszy krowy na pastwisko. Starłem się tylko, żeby nikt z domowników nie wiedział, jak się zabawiam. Dopuściłem do tajemnicy Heńka, ale mama nic nie mogła wiedzieć. Nad Klukówką do spłonki przywiązywałem długi sznur. Granat przymocowany do kija wbijałem w dno rzeki i na brzegu czekałem. Gdy przepływała ławica ryb, szarpnąłem za sznurek i następował wybuch. Ryby razem z wodą wyrzucało na brzeg, wtedy

wskakiwałem do wody, zbierałem pozostałe, by woda ich nie poniosła. Robiliśmy to z Heńkiem, który na brzegu zbierał ryby, bo tylko do tego się nadawał. Z powodzeniem łowiliśmy kłomlą na Kulkówce. Już jako dorosły próbowałem łowić kłomlą z bratanikiem. Emocje były takie same, ale połów skromniejszy - dodaje pan Janek.

- Tak wiem, to było kłusownictwo, ale dzięki temu nie cierpieliśmy głodu. Teraz myślę, że sposób w jaki nas, biednych ludzi traktowano, też w porządku nie był. Musieliśmy sobie radzić, najpierw z chorobą mamy, a po jej śmierci, sami sobie. Miałem wtedy tylko 11 lat.

Kiedy wspominał tamten czas, myśle o własnych synach i wnukach. Czasem narzekając, wtedy opowiadał im o naszym

dzieciństwie, jak sobie radziłyśmy i jakie były nasze zabawy. Często graliśmy w palanta na dużym podwórku u Kawków. Gdzie tylko było więcej miejsca dla kilku osób, rozgrywaliśmy piłkierkę, urządzaliśmy dwa ognie, siatkówkę, rozgrywki w piłkę nożną. Najbardziej lubiłem jazdę fajerką. Potrzebny był odpowiednio wygięty drut, który trzymał koło w pionie. Każda ścieżka nadawała się do jazdy i wyścigów. Później robiliśmy wyścigi obręczami starych rowerów. Wystarczył mocny leszczynowy kij, trochę sprytu i wyczucie równowagi. A ile było przy tym radości?

Minęło tyle lat, marzenia dzieci się nie zmieniły. Tygodniowe wakacje poza miejscem zamieszkania dla większości wiejskich dzieci to jedynie marzenie. W ubie-

Słupskie Cieśliki – piłkarska s

Tegoroczny zjazd „Ciślików” był wyjątkowy, gdyż odbywał się w czasie EURO 2012. Absolwenci Międzyszkolnego Klubu Sportowego „Cieśliki” przyjechali do Ustki już po raz siódmy na trzydniowe spotkanie, by także wspólnie kibicować Polakom w meczu z Czechami.

Powrót do przeszłości

Pomysł wspólnych spotkań byłych piłkarzy narodził się kilkadziesiąt lat temu. Pierwszy zjazd zorganizowano w 2003 roku, kolejne odbywały się co dwa lata. Wspaniała atmosfera i niesamowity klimat sprawiły, że od kilku lat zjazdu dobywają się co roku. Każdy z nich to niezapomniane przeżycie dla ich uczestników. Kilka razy przyjeżdżał patron Gerard Cieślik, ostatnio stan zdrowia mu na to nie pozwala. Jednak w czasie zjazdu zawsze rozmawiają z nim telefonicznie. W całej historii spotkań nie udało się, by piłkarze zjawili się w komplecie. Część porożędzała się po świecie i nie ma z nimi kontaktu, niektórzy nie mogli, a dwudziestu dwóch już nie żyje, wśród nich także trener Jerzy Krzysztofowicz. Oprócz wielu znakomych niegdyś zawodników przyjechał założyciel klubu i trener Marian Boratyński. Jak przed laty wszyscy wystąpili w jednakowych, pamiątkowych koszulkach. Niektórzy przywieźli różne pamiątki z tamtego okresu i zdjęcia, a wszyscy niezapomniane wspomnienia z czasów piłkarskich sukcesów. Opowieściom nie było końca. - Tworzyliśmy i tworzymy grupę dobrych kolegów - jedność na boisku i jedność poza nim do dziś - powiedział Janusz Żukowski, jeden z pierwszych „Cieślików”, który trenował w latach 1960- 1965.

Tak się zaczęło

W 1960 roku odbywał się Turniej Drużyn Podwórkowych i na zakończenie każdy

Po pięćdziesięciu latach piłka nożna jest dla nich tak samo ważna, jak była wtedy, kiedy sami za nią biegali. Teraz mówią, że wartości wpojone im w młodym wieku, procentowały w całym dorosłym życiu



zespół otrzymał piłkę. Została jedna i nie było komu jej dać. Wtedy zrodził się pomysł, by z wyselekcjonowanych zawodników utworzyć drużynę piłkarską. Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej w Koszalinie utworzyło Szkołę Piłkarską im. Gerarda Cieślika - legendy polskiego futbolu. O zgodę na użycie w nazwie imienia i nazwiska słynnego polskiego napastnika Marian Boratyński udał się specjalnie do Chorzowa. Piłkarzowi pomysł się bardzo spodobał i z wielką radością wyraził zgodę. Natomiast dopingujący kibice zdecydowali, że nazwę zmieniono na „MKS Cieśliki Słupsk”.

Założycielem klubu i wieloletnim trenerem był Marian Boratyński, młodych pił-

karzy trenował także Jerzy Krzysztofowicz, wówczas wykładowca w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku. Od jesieni 1960 roku grupa około trzydziestu chłopców w wieku 12-13 lat rozpoczęła regularne treningi. Ich pobyt w klubie trwał najczęściej około pięć lat, do ukończenia osiemnastego roku życia. Dla większości z nich słowo „Ciśliki” to nie tylko czas intensywnych

treningów, ale także najpiękniejszy okres w życiu. Wspólnie dorastali, trener nie tylko uczył ich grać, ale także przygotowywał do dorosłości. Wtedy buntowali się przeciwko stosowanym metodom wychowawczym, dopiero po latach je docenili. Na pierwszym miejscu była prawdziwa szkoła, wyniki w nauce, nieskazitelna postawa sportowca, ciężka praca, a dopiero potem kopanie piłki - wspomina Jacek Żukowski. - W tamtym okresie nie mieliśmy sobie równych na terenie całego kraju, graliśmy w turniejach w Warszawie, Szczecinie, Krakowie czy Poznaniu. W swojej kategorii wiekowej wygrywaliśmy większość meczów - dodaje J. Żukowski.

głym roku na wakacje wyjechało tylko co piąte dziecko z terenów wiejskich. Jak wynika z badań Instytutu Homo Homini, przeprowadzonych na zlecenie „Głosu Nauczycielskiego”, połowy polskich rodzin nie stać na wysłanie dziecka na tygodniowe wakacje. Z raportu przygotowanego przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) wynika, że wśród państw należących do Unii Europejskiej Polska jest krajem o najwyższym stopniu zagrożenia ubóstwem dzieci i młodzieży.

Jak spędzają wakacje dzieci i młodzież z terenów wiejskich? W okresie intensywnych prac polowych często czeka je praca w gospodarstwie. Z letniego wypoczynku wciąż korzysta nieznaczna ilość dzieci wiejskich. Potwierdzają to dane MEN, z których

wynika, że w ubiegłym roku dzieci z terenów wiejskich stanowiły zaledwie jedną piątą wszystkich, które wyjechały na wakacje. Dlatego ważna jest każda inicjatywa dająca możliwość wypoczynku wiejskim dzieciom. Znaczenie psychologiczne, edukacyjne i społeczne takich wyjazdów jest nie do przecenienia. Coraz częściej słyszymy o choćby jednodniowych wyjazdach dla seniorów. Warto zabiegać o programy wakacyjne dla dzieci i młodzieży. Pan Janek wie o tym od lat. Być może dlatego zachęcał mnie do napisania choćby krótkiego felietonu o wakacjach wiejskich dzieci z okolic Słupska w Potęgowie w gminie Linia na Kaszubach.

**Czesława Długoszek
Objazda**

szkoła wychowania



Fot. arch. Janusza Żukowskiego

W czasie działalności szkółki rozegrało ponad dwieście meczów, większość z nich zakończonych zwycięstwem. Z powodów finansowych MKS Cieślki został rozwiązany w 1972 roku.

Marian Boratyński był dla nich wielkim autorytetem, to on nauczył ich gry w piłkę, zmuszał do nauki, ale także nauczył kultury i przygotował do życia w dorosłym świecie. Swoje spotkania być może z tego powodu nazywają Zjazdami Absolwentów, bo MKS Cieślki to nie tylko była szkoła piłkarska, ale to była prawdziwa szkoła wychowania. Później w życiu poukładało się im różnie. W latach 60. i 70. słupscy piłkarze grali m.in. przed meczami reprezentacji Polski, później wielu z nich grało w I i II lidze, kilku trafiło do reprezentacji Polski. Obecnie część z nich jest już na emeryturze, są wśród nich dyrektorzy, prezesi, inżynierowie, biznesmeni, urzędnicy, robotnicy, a także bezrobotni. W czasie spotkań tworzą jedną, fantastyczną rodzinę. Dalej są duchem w latach sześćdziesiątych. Mimo że włosy posiwiały, sprawność już nie ta, to nadal czują się młodo. Zawdzięczają to nie tylko trenerowi Marianowi Boratyńskiemu, ale także organizatorom zjazdu: Waldemarowi Pawlakowi

i Mariuszowi Baturze. Okazjonalne koszulki i czapeczki na tegoroczny zjazd ufundował Andrzej Kubiak, właściciel sklepu odzieżowego na Manhatanie w Słupsku.

Piłkarska legenda

Gerard Józef Cieślík urodził się 29 kwietnia 1927 roku w Hajdukach Wielkich. Zawsze był wierny Ruchowi Chorzów - zaczynał w tym klubie od szmacianki, a skończył w reprezentacji Polski. Swego czasu był nawet jej rekordzistą, strzelając w 46 meczach dwadzieścia siedem bramek. Karierę zawodniczą zakończył, mając zaledwie trzydzieści dwa lata (w 1959 roku), będąc u szczytu swoich umiejętności. Postanowił usunąć się w cień w pełnej sławie. W lidze zdobył 167 bramek, a w latach 1952 - 1953 był królem strzelców. W kadrze narodowej nie miał sobie równych. Do historii przeszedł zwycięski mecz ze Związkiem Radzieckim w Chorzowie w 1957 roku. Polska wygrała 2:1, a autorem obu bramek był Gerard Cieślík. Rozentuzjasmowany tłum zniósł go ze Stadionu Śląskiego na rękach. W 1969 roku ogłoszono go najlepszym zawodnikiem pięćdziesięciolecia PZPN.

Maria Matuszewska, Słupsk

KALENDARIUM

22 czerwca w Zespole Szkół Technicznych w Ustce był Dniem Mediacji i Praw Dziecka.

22-23 czerwca w Zespole Szkół Samorządowych w Kwakowie odbył się doroczny Ogólnopolski Festiwal Piosenki i Tańca Kwakowo 2012.

28 czerwca w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Ustce uroczystie pożegnano klasy trzecie gimnazjum i zakończono szkolenia zawodowe.

3 lipca na posiedzeniu Rady Pedagogicznej w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Damnicy omówiono wyniki ewaluacji przeprowadzonej przez Kuratorium Oświaty w Gdańsku.

13-14 lipca odbyła się pierwsza część 6. Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty w Strzelinku.

15-22 lipca w powiecie słupskim przebywała 20-osobowa grupa młodzieży z Niemczech.

21 lipca na placu Zwycięstwa w Słupsku zorganizowano II Europejski Festiwal Smaków.

21-22 lipca w Rowach odbył się VI Ogólnopolski Zjazd Maskotek.

28 lipca spod starostwa wyruszył X Jubileuszowy Rajd Rowerowy Osób Niepełnosprawnych im. Stanisława Kądzeli.

29 lipca na Stawku Łąbędzim w Słupsku przeprowadzono Wędkarskie Zawody Sławkowe o Puchar Starosty Słupskiego.

10-12 sierpnia br. odbyła się druga część 6. Festiwalu Legend Rocka.

18 sierpnia br. na Placu Zwycięstwa w Słupsku odbyło się XVI Święto Ryby.

19 sierpnia zakończył się XXII Międzynarodowy Festiwal Brydza Sportowego „Solidarność”.

25-26 sierpnia przedstawiciele powiatu słupskiego uczestniczyli w Święcie Płonów w partnerskim powiecie ciepińskim. **(E.Cz.)**

Samo wzgórze Kahlenberg jest miejscem dla Polaków niczym Wawel i Częstochowa, obok którego nie można przejść obojętnie. Jest to miejsce poświęcone naszemu wspaniałemu rodakowi, jakim był król Jan Sobieski, który właśnie z tego miejsca ruszył na pomoc Wiedniowi, ratując chrześcijaństwo i Europę przed zalewem Islamu. Kiedy już nie było nadziei i siły obrońców malały, wówczas jak zbawienie nadeszła pomoc z Polski. Wezwana przez cesarza Leopolda I, poparta wsparciem finansowym przez ówczesnego papieża Innocentego XI. Wtedy to 12 września roku 1683 doszło do decydującej bitwy. Sobieski zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji, dlatego kierowany wiarą, całą ufnością w zwycięstwo złożył w Bogu, uczestnicząc tego dnia o czwartej rano we mszy świętej.

Była to Niedziela Opatrzności Bożej. Wszystko rzucił na jedną kartę, śmierć albo zwycięstwo. Do zwycięstwa albo śmierci wzywał również zielony sztandar Proroka. Po ludzku sądząc, sytuacja była beznadziejna. Kara Mustafa był pewny zwycięstwa jak nigdy dotąd. Jednak dwudziestotysięczna armia konnicy i husarii polskiej,

Byliśmy w Wiedniu

Wiedeń - ogromne miasto ze starymi strzelistymi wieżami katedr i kościołów, pełne zabytkowych pałaców, przecięte wstęgą błękitnego Dunaju robi niesamowite wrażenie



Polskę odwiedziło przeszło osiemset tysięcy turystów. Zostały przekroczone wszelkie prognozy i pobite wszystkie rekordy. Nigdy nie było u nas tylu przyjezdnych, bawiących się i poznających nasz kraj

Co zapamięta

Trudno powrócić do normalności nie tylko kibicom polskim, ale także tym wszystkim, którzy zwykle nie uczestniczą w wydarzeniach sportowych, a zostali zmuszeni do udziału w atmosferze zbiorowego szaleństwa, jakiego dostarczyło nam Euro 2012. W rozmowie ze mną naukowiec-intelektualista, a zarazem racjonalista w myśleniu - wyjaśniał, że zjawisko euforii jest potrzebne, a nawet konieczne dla integracji narodowej, ale nie do takiego stopnia, aby wszystkim obywatelom „zakręcić w głowie”. Wszystko co się wydarzyło na Euro 2012 było faktycznie nie-

przewidywalne i spontaniczne, tak jak same wyniki meczów. W ostatecznym jednak rachunku zjawisko społecznego uczestnictwa w kibicowaniu, w prezentowaniu polskiej gościnności i epatowaniu piłkarzy z różnych państw wniosło wiele wartości pozytywne.

Oglądałem mecze i zachowanie zwolenników piłki nożnej w Strefie Kibica w Słupsku oraz specjalnie stworzonej strefie na Placu Zebrań Ludowych w Gdańsku. Teren położony blisko Dworca Głównego PKP stanowi dogodny obszar na festyn i duże zgromadzenia. Był Strefą Kibica szczególną. Tutaj bez biletu atmosferę Euro 2012 przeżywało trzydzieści tysięcy fanów, zjednoczonych, przyjaznych i szczęśliwych. Sercem tego miejsca był największy telebim o powierzchni 100 metrów kwadratowych. Dodatkowo umieszczono duże ekrany, na których transmitowano wszystkie mecze. Powstało małe miasteczko, w którym królował futbol i znakomita zabawa. Dla kibiców przygotowano mnóstwo dodatkowych atrakcji i programów towarzyszących, m.in. miniboiska do piłki nożnej, boisko do siatkówki plażowej, konsole do gier komputerowych, a także wydzieloną strefę, w której umiejscowiono sektor gastronomiczny, z pamiątkami i turystycznymi atrakcjami regionalnymi. Ogólnonarodowe święto trwało od czerwca do lipca 2012 roku,



Fot. W. Lipczyński

Fot. W. Lipczyński

pod dowództwem samego króla Jana odniosła zwycięstwo. Wiktoria Wiedeńska to najpiękniejsza karta oręża polskiego. I tak w dwusetną rocznicę bitwy, Rada Miejska uchwaliła, że wzgórze Kahlenberg będzie miejscem upamiętniającym to wydarzenie. Obecnie jest tam kościół pod wezwaniem św. Józefa. Jest on drogim sercem każdego Polaka Sanktuarium Narodowym. Wielkim kultem cieszy się również kaplica poświęcona błogosławionemu papieżowi Innocentemu i Królowi Janowi Sobieskiemu, w której to 13 września 1983 roku papież Jan Paweł II modlił się o wstawiennictwo Boże dla narodu polskiego. Jak wielką czią odznacza się to miejsce, niech świadczą liczby. W ciągu roku półtora miliona pielgrzymów z Polski, Europy i z krajów pozaeuropejskich pojawia się na tym niezwykłym wzgórzu. Wśród tej rzeszy zwiedzających znalazła się też nasza kapela „Zgoda” - 2 czerwca br. W naszych muzycznych wędrówkach zatrzymaliśmy się na chwilę, aby tam zamyślić się nad piękną kartą historii. Wyjazd kapeli do Wiednia zawdzięczamy zaproszeniu przez tamtejszą Polonię, która skupiła się w klubie „Ostoja” przy polskiej parafii, przy kościele św. Małgorzaty. Całym

motorem zorganizowanej wyprawy była Elżbieta Zamojska - prezes i jedna z pierwszych założycielek klubu. Jak bardzo potrzebne jest takie miejsce dla małych społeczności w obcym kraju wiedzą tylko ich członkowie. Byliśmy zdumieni obecnością wielu gości. „Ostoja” obchodziła właśnie jubileusz pięciolecia swojej działalności. Swoim występem wzruszyliśmy i podbiliśmy serca zebranych na podniosłej uroczystości. Na koniec konsul osobiście podziękował nam za przepiękny występ i zaprosił do przyjazdu w następnym roku. Wieczór jubileuszowy uświetniła między innymi również moja kolekcja haftów kaszubskich. Zachwytem i podziwem nie było końca. Jak przystało na kapelę bawiliśmy gości, grając polską muzykę biesiadną, przy której tańczono do upadłego.

Nazajutrz uczestniczyliśmy w bardzo uroczystej mszy św., podczas której gościnnie występujący z naszą kapelą Grzegorz Wantoch-Rekowski z Masłowic prowadził liturgię, grając na organach i śpiewając piękne pieśni kościelne w języku kaszubskim. My również wystąpiliśmy w tym kościele, zaśpiewaliśmy kilka pieśni religijnych kaszubskich i polskich. Łzy wzru-

szenia płynęły po twarzach słuchających, nasze oczy też były podejrzliwie wilgotne. Byliśmy otoczeni wielką serdecznością i gościnnością ze strony organizatorów. Zadbano też o to, by jak najwięcej pokazać nam w Wiedniu. Podziwialiśmy katedrę św. Stefana - unikat na skalę światową, zapiera dech w piersiach wystrój wnętrza, a także wygląd zewnętrzny. Zwiedziliśmy cały kompleks pałacowy cesarza Franciszka Józefa. Jakże pięknie zabrzmiiała kaszubska pieśń pod sklepieniem cesarskiego pałacu! Podziwialiśmy wizerunki, pomniki, budowle księżnej Elisabeth, zwanej popularnie księżną „Sissi”. W osłupieniu wprowadził nas gmach Parlamentu i Ratusz - niezwykle w swej formie dostojności i urody architektonicznej.

Deserem był spacer w ogrodzie różanym, w którym kwitły tysiące róż, a zapach i muzyka Straussa dopełniły resztę. Dla nas, mieszkańców naszego małego Słupska, a wcześniej małych wiosek nawet przejazdu metrem były atrakcją. Najważniejsze, że w Wiedniu byliśmy dobrym ambasadorem słujskiej kultury.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk**

amy po Euro 2012?



a specjalny regulamin określał warunki wstępu i korzystania ze strefy, która była już czynna na wiele godzin przed rozpoczęciem meczów.

Stara rzymska maksyma głosi: „panem et circensens”, tj. chleba i igrzysk - były to żądania ludu rzymskiego z czasów cesarskich. Krytycznie nastawione osoby do Euro 2012 widzą analogię do dzisiejszych czasów i mówią, że powiedzenie to sprawdza się we współczesnym wydaniu - tylko chleba, czyli pracy nie ma dla wszystkich. Ponadto poniesiono kolosalne wydatki - 5 miliardów złotych na budowę stadionów i na Euro, kiedy brak jest środków na edu-

kację, naukę i służbę zdrowia. Ale takie są realia przygotowania Polski do Euro 2012. Był to nasz cel w ostatnich latach, a naczelną hasło głosiło: przez nowe stadiony do lepszych Polaków. I co nam zostało z tych przeżywanych w euforii dni?

Można przy tej okazji zastanowić się, co jest naszą zbiorową cechą, tak charakterystyczną dla współczesnej osobowości młodego Polaka, zarazem kibica. Co kształtuje jego zachowanie - czy to jest mieszanina samouwieblenia, fantazji, czy chęć zaistnienia za wszelką cenę. Może jest to odreagowanie trudności na jakie napotykają młodzi ludzie, na starcie życio-

wym, w osiągnięciu stabilizacji, zmuszani często do emigracji zarobkowej i tęsknoty za rodzinnym krajem. Powoduje to ogólną frustrację i niechęć do polskiej rzeczywistości. Pozostaje jeszcze pytanie - czy umiemy kochać Polskę w normalnych warunkach? Czy tylko chcemy ciągle walczyć za ojczyznę lub zrywami pokonywać rozwojowe zaległości w kraju? Problemy budowy państwa obywatelskiego i młodej demokracji są niejednokrotnie przyczyną niepewności młodych Polaków, którzy nie umieją się dostosować do realiów ekonomicznych. Polacy są czasem malkontentami, lubią to co nie polskie, a dobrem wspólnym się nie zachwycają. Natomiast cudzoziemcy są pełni podziwu dla piękna naszej Ojczyzny - krajobrazu, tradycji, kultury, dla niespotykanej gościnności Polaków, uroku pięknych Polek i okazywanej serdeczności naszych rodaków. My, Polacy wówczas przecieramy oczy i widzimy wszystko inaczej, jesteśmy dumni, gdy słyszymy pochwały, w które trudno nam uwierzyć, że świat inaczej nasz spostrzega niż my sami siebie.

Co zapamiętamy po Euro 2012? Była to wspaniała lekcja patriotyzmu pozbawiona jakiegokolwiek szowinizmu? Kibice sami dekorowali balkony i samochody flagami biało-czerwonymi. Brzmiały gromkie okrzyki! „Polska, biało - czerwoni! Polska, biało - czerwoni! Cała Polska

euforia narodowa, czy histeria zbiorowa?

stoi za wami, w górę ręce, w górę flagi, do przodu, zaraz padnie pierwszy gol..." Polskę odwiedziło przeszło osiemset tysięcy turystów. Zostały przekroczone wszelkie prognozy i pobite wszystkie rekordy. Nigdy nie było jednorazowo tylu przyjezdnych, bawiących się i poznających nasz kraj. To jest największy sukces, to wielka promocja Polski - ukazały się tysiące artykułów, audycji i korespondencji o naszym kraju. Wizerunek kreowany za granicą

przed mundialem i sporadyczne ostrzeżenia przed przyjazdem do Polski, okazały się bezpodstawne, niesprawdzone i niewłaściwe.

Turysta - kibic na długo zapamięta pobyt w Polsce. Dobrą organizację przedsięwzięcia, strefy kibica, komunikację lokalną, taniość usług, a szczególnie wyjątkową gościnność, otwartość i komunikatywność Polaków. Taki pozostanie w pamięci turystów nasz kraj, niektórzy już teraz pozosta-

ją w Polsce i zwiedzają miasta organizujące Euro 2012 - Warszawę, Poznań, Wrocław, Gdańsk oraz Kraków. Inni zapowiadają swój ponowny przyjazd i to z rodzinami, chcą dokładnie poznać Polskę. Polska zaczęła podobać się Europejczykom.

Co pozostanie po Euro 2012? Miłość do piłki nożnej, satysfakcja, że wszystko się udało i kultura kibicowania, którą zaprezentowaliśmy całkiem inną niż podczas lokalnych rozgrywek. Bilans ostateczny Euro

Roznosi się zapach grillowanej karkówki

Moda grillowania dotarła do nas jakieś piętnaście lat temu z Ameryki, gdzie zwyczaj opiekania mięsa rozpowszechnił się na dobre

Zmiany są nieuchronne. Zmienia się otoczenie, sposób życia, zajęcia, zabawy. Jakby czas przyspieszył, a świat zmaleł, nie zaskakuje oryginalnością. Jeszcze niedawno w wiejskim pejzażu królowały ogniska z pieczonymi gruszkami (nie zasypiaj gruszek w popiele) i kartoflami, bawiono się na potańcówkach. W miastach popularne były pikniki z tańcami i karuzelą. Inni urządzali polowania zakończone pieczeniem zwierzęcy na rożnie. Mamy dość świadectw literackich pozwalających twierdzić, że takie formy wspólnej zabawy były na tyle popularne, by ich opisy i pamięć o nich weszły do kanonu kultury.

Dziś wszyscy grillują. Na wsi i w mieście. Moda dotarła do nas jakieś piętnaście lat temu z Ameryki, gdzie zwyczaj opiekania mięsa na otwartym ogniu rozpowszechnił się na dobre na początku XX wieku. Najpierw powstawały otwarte grille murowane. Niewygodne i poddane kaprysom pogody. Dopiero gdy George Stephen, amator opiekanego na ogniu mięsa, ojciec jedenaściorga dzieci, wykonał i opatentował trójnożny grill z pokrywą, nastąpiło szaleństwo barbecue. Pomysł zrodził się w 1952 roku w czasie morskiej podróży. Spostrzegawczy Amerykanin obserwował boje, one zainspirowały Stephena do prawdziwego biznesu w amerykańskim stylu. Wynalazek uzupeł-

nił współpracownik Henry'ego Forda, wykorzystując do grillowania odpad produkcyjny w postaci węgla drzewnego. W salach obok samochodów stały grille i węgiel drzewny. Idealne połączenie! Odtąd wystarczył kawałek ogródka i mobilne urządzenie do grillowania, by spotkanie towarzyskie nabrało rumieńców nie tylko od ognia.

Prezydent Słupska i starosta słupski wpisują się w światowy trend. Na 21 lipca zapraszali wszystkich na II Europejski Festiwal Smaków „Słupskie Grillowanie”. Imprezę uświetnił pokaz grillowania w wykonaniu Krzysztofa Szulborskiego i Tomasza Kunysza, mistrzów świata i Europy. Obaj cieszą się sławą znakomitych kucharzy i popularnością nie tylko na Pomorzu. Krzysztof Szulborski zdobył mistrzostwo świata w grillowaniu opiekając ananasa z karmelem i lodami na gorąco. Mistrzowie zawsze mają tajne sposoby! Pan Szulborski poleca dodawanie do węgla drzewnego marynowanych w alkoholu wiórów drewnianych. Gwarantują podobno niezapomniany aromat potraw. Tomasz Kunysz z restauracji z Bydlina zdobył niedawno tytuł Najlepszego Kucharza Regionu. Uczestnicy słupskiej fety na Placu Zwycięstwa mieli okazję poznać mistrzów i pokazać własne umiejętności. Reprezentacje gmin powiatu słupskiego i Słupska przygotowały własne pomysły smakowe po-

traw z grilla, za co otrzymały nagrody oraz certyfikaty dla promowanych smaków potraw i nalewek. Piknik handlowy połączony z pokazem grillowania i występami zespołów artystycznych okazał się dobrą formą promocji regionu i integracji lokalnej społeczności. Przy okazji dokonano przeglądu dorobku regionalnej gastronomii. Grill jako urządzenie do przyrządzania potraw okazał się pretekstem. Obok gospodynie z KGW z Objazdy, Dębnicy Kaszubskiej i innych gmin sprzedawały ciasta i nalewki. Stoiska pachniały wędzonymi kiełbasami. Wokół rozbrzmiewała muzyka. Dzieciaki i dorośli zasmakowali ludowego klimatu.

Nie jestem pewna czy w kiermaszu smaków brały udział okoliczne gospodarstwa ekologiczne. W bilansie ekonomicznym nastawione są na zysk z dopłat unijnych, agroturystyki, rzadziej, mimo wysiłków propagatorów dawnego, wracają do dawnych sposobów gospodarowania i gospodarzenia. Po prostu, było, minęło, jednak warto o tym wiedzieć i pamiętać.

Kiedyś w wiejskich gospodarstwach tłoczono na przykład olej. Olejarnie były w zasadzie w każdej wsi, najczęściej prowadzone przez Żydów, rzadziej drewniana prasa do tłoczenia oleju była w gospodarstwie. Domowym sposobem w stępie lub w okolicznych młynach wiatrowych wyra-

2012 jeszcze trwa. Wielkie niewymierne korzyści Polska osiągnęła w promocji swoich możliwości na skalę europejską i światową. Znowu dokonała kolejnego skoku cywilizacyjnego. Zostają nam jednak niedokończzone autostrady, które teraz poprawiamy i kończymy, nie w pełni jeszcze jest sprawna komunikacja kolejowa. Jednak mamy sfinalizowane nowe inwestycje w portach lotniczych, co zwiększa przepustowość lotnisk i umożliwia przyjmowanie dużych

samolotów. Jest nadzieja, że po Euro 2012 będzie inna infrastruktura komunikacyjna i na pewno będą widoczne zmiany. Z największych inwestycji pozostaną wybudowane piękne stadiony. Jednak pozostają bez skutecznych pomysłów, jak je utrzymać i wykorzystać, aby mogły na siebie chociaż częściowo zarabiać. Koszty utrzymania stadionu warszawskiego wynoszą 1,5 miliona złotych miesięcznie, a rocznie mogą wynieść nawet 20 milionów!

Pozostaje jeszcze refleksja - czy w nas, Polakach po dniach euforii i zadowolenia będzie jeszcze siła i chęć do codziennej pracy organicznej, do rozpoczęcia etosu dalszych dokonań w zaległych dziedzinach, aby dogonić kraje europejskiej, a nie spocząć na dzisiejszych laurach - Euro 2012? Należy w tym celu wykorzystać istniejącą integrację narodową i nie zmarnować energii społecznych działań.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

biano pożywne kasze: gryczaną, jęczmieniową i jaglaną z prosa.

W ciągu naszego życia przeminał czas wiatraków obecnych w wiejskim pejzażu przez wieki. Koźlak czy paltrak najpierw stracił śmigły, później cały popadał w ruinę. Nie ma po nich śladu, a dzieci nie wiedzą, jak były ważne dla wiejskich gospodarstw. Skansen w Klukach przygotowuje weekendowe pieczenie chleba przy regionalnej muzyce, ale inne dawne zajęcia odchodzą w niepamięć.

Każda praca, każde zajęcie odbywało się według obrządku i było okazją do spotkań towarzyskich i kulturalnych. Darcie pierza w zimowe wieczory, przedzenie na kołowrotku organizowano w chłopskich chałupach z radością. Była to okazja do rozmów, śpiewania, opowieści, wspomnień. Spotykali się młodzież i starsi, przekazując umiejętności, opowieści, pieśni.

Jednak ponad pół wieku temu bezpowrotnie zniknęły z wiejskiego pejzażu bielące się na majowej trawie długie wstęgi lnianego płótna czy porozwieszane na płotach motki przędzy.

W ogrodach rosły proso i soczewica, len, mak i buraki, kapusta na potrzeby rodziny. Przed domem kwiaty, by cieszyły oczy i duszę. Czas żniw przez wieki był najważniejszym okresem w chłopskim kalendarzu. Pracowały całe rodziny, sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie. Żaden kłós nie mógł się zmarnować. Wiązano snopy, później ustawiano je w kopy. Nazywano je różnie: lalki, panienki, maderki, półkopki lub po prostu kopy czy kopice, jak u Mickiewicza, i każdy region miał swoje sposoby kopienia zboża. Po kilku dniach, gdy przeszło, zwożono snopy do stodoły, gdzie czekały na młockę. Na koniec żniw zostawiało się garść dorodnego żyta na brzegu pola, najlepiej przy gościńcu. Związywano kłosa barwną krajką, wplatając w środek kwiaty. Był to dożynek, zwany także na Podlasiu i Mazowszu przepiórką.

Zamiast maszyn rolniczych w wiejskim pejzażu dziś słychać głośnie spalinyowe podkaszarki. Nie ma zapachu siana, nie słychać rytmicznego klepania kos w czas żniw. Nikt się w polu nie spieszy, gdy nadciągają chmury. Zewsząd w czasie weekendu roznosi się zapach grillowanej karkówki. Takie czasy.

Czesława Długoszek, Objazda

Paryż wyprzedza nieustannie wielkie stolicy - metropolie świata. To tutaj nadaje się ton życiu Europejczyków, określa się kierunki jego rozwoju „duchowego” i przedstawia reszcie świata innowacyjne i twórcze propozycje. Dla laicyzującej się Europy i snobizującej się części społeczeństwa „starego kontynentu”, Paryż jest miastem, w którym należy się koniecznie znaleźć, a jeszcze inni twierdzą, że należy być w nim raz w roku, aby przeżywać to, co proponuje w tym czasie to miasto... Tutaj jedzie się nie tylko po to, żeby zobaczyć, jak się uwielbia kochanie, ale również po to, aby się uczyć, podziwiać i być na spotkaniu z wszystkim, co jest nowe i zadziwia cały świat. Artysta-cudzoziemca ma potrzebę zmierzania się z wyzwaniem stolicy kultury. Artystyczny świat ma



Fot. W. Lipczyński

bowiem tutaj swój probierz możliwości, aspiracji i talentu.

Przybliżam Paryż ten aktualny, to co oferuje on oczekującej Europie w różnych sferach życia, od „strawy duchowej” aż do sztuki kulinarnej. To trudne przedsięwzięcie, aby o wszystkim napisać w jednym krótkim reportażu. Ale podejmuję taką próbę. Paryż zadziwia swoim układem urbanistycznym. Jest to dzieło barona Haussmanna, który na przełomie XIX wieku rozbił stare średniowieczne dzielnice i stworzył nowe bulwary, aleje i place. Powstał wówczas spójny geometryczny układ gwiaździstych placów z rozchodzącymi się ulicami, który

Paryż - stolica kulturalna świata

Ernest Hemingway napisał: „Paryż to wieczny festiwal życia”. Sami Francuzi mówią: to nie tylko stolica kultury i awangarda artystów - malarzy, pisarzy, filmowców, mody, ale jest to szczególne miasto stworzone do miłości, gdzie się uwielbia i gloryfikuje to najważniejsze ludzkie uczucie

ciągle zdaje swój egzamin w rozwiązywaniu wielkomiejskich problemów komunikacyjnych. Ulice są jednak przepelnione do granic możliwości, a samochodów ciągle przybywa. Zachowane podstawowe założenie najslawniejszej paryskiej perspektywy przebiega od Luwru z Łukiem Triumfalnym Carrousel do Ogrodów Tuilleries, następnie przez Plac Zgody i Pola Elizejskie aż do Łuku Triumfalnego na promienistym Placu Gwiazdy, gdzie rozchodzi się dwanaście ulic. Dalej ta oś została współcześnie przedłużona do najnowocześniejszej dzielnicy Paryża - La Defense. Potężne wieżowce, biurowce i modernistyczne budowle z Łukiem Grande Arche de La Defense zamykają całą perspektywę.

Pola Elizejskie (Av des Champs Elyses) - reprezentacyjna i najpiękniejsza aleja Paryża i świata, zatłoczona o każdej porze dnia, ciągnie się trzy kilometry, łącząc Place de la Concorde (Plac Zgody) z Place Etoile (Plac Gwiazdy). Tu są najdroższe rezydencje, mieszkania i lokale na świecie, otoczone parkiem i strzyżonymi żywopłotami. To tutaj są najładniejsze fasady budowli z typowymi dla francuskiego budownictwa dachami mansardowymi, tarasami i balkonami. Układ urbanistyczny Paryża był wzorem do naśladowania przy rozbudowie takich miast w Polsce, jak Szczecin czy Słupsk, które w następstwie nazywano „małymi paryżami”.

Paryż posiada swoją kolebkę i oś historyczną związaną z rzeką Sekwaną, która warunkowała rozwój i istnienie miasta. W jego środku się rozdziela, tworząc wyspy - Cite i Świętego Ludwika. Na Wyspie Cite znajdują się najstarsze ślady osadnictwa. Książę Franków, Chlodwig I (465 - 511) wybrał to miejsce na stolicę swojego państwa. Na wyspie tej nawet każda najmniejsza budowla ma wartość symboliczną i historyczną. Najważniejsza - to imponująca katedra Notre-Dame. Jest przykładem architektury



gotyckiej, fasada zachodnia posiada trzy niepowtarzalne portale wejściowe ozdobione monumentalną rzeźbą w kamieniu. Nad nimi - potężne okno promieniste w formie rozety o niespotykanej szerokości, a na zewnątrz bryły - jedyne w swoim rodzaju wykute z kamienia, funkcjonalne Chimery. Są to słynne katedralne demony, które występują na balustradzie - szerokiej galerii obiegającej wieżę. To tutaj narodził się Paryż i stąd rozciągnął się na oba brzegi Sekwany.

Na lewym brzegu usadowił się Paryż artystów, intelektualistów i uniwersytetów. Już w XIII wieku wzgórze świętej Genowefy było ośrodkiem nauczania i zapoczątkowa-

ło powstanie najslawniejszego uniwersytetu założonego przez Roberta de Sorbonie w 1253 roku. Życie uniwersyteckie Paryża koncentruje się tutaj wokół historycznej Sorbony, a powstała Dzielnica Łacińska, z bulwarem Saint-Michel jest ojczyzną studentów całego świata.

Paryż oglądany z Sekwany to największe przeżycie dla zwiedzających to miasto, zwłaszcza gdy korzysta się z pływających po rzece „bateaux mouches”. Są to stateczki wycieczkowe wożące turystów, szczególnie w wieczorowej porze. Prawie wszystkie najciekawsze budowle Paryża są nad samą rzeką lub w jej pobliżu. Są pięknie iluminowane nocą, co eksponuje ich detale

Trzeba mieć serce dla

*Jedni twierdzą,
że jej kondycja jest
znakomita, drudzy,
że coraz gorsza.
Polska kultura, jak
wiele dziedzin prze-
żywa swoje wzloty
i upadki*

Kultura, kultura, kultura... Ta osobista i rozumiana w szerszym kontekście. Wielu za nią tęskni i odczuwa poważny jej deficyt. Zwłaszcza w sytuacjach, gdy z różnych stron zalewa nas chamstwo, wulgaryzm, brzydota. Nie bez znaczenia dla człowieka pozostaje to, w jakim środowisku się obraca, od kogo czerpie wzorce zachowania i jakimi wartościami kieruje się na co dzień. Jan Paweł II w jednym ze swoich wystąpień powiedział: „Kultura jest tym, przez co człowiek, jako człowiek staje się bardziej człowiekiem.” Nie sposób nie zgodzić się z tym poglądem. Co pewien czas odbywają się konferencje i panele dyskusyjne poświęcone temu tematowi z udziałem wybitnych

znawców i autorytetów. Są powody do dumy i zadowolenia, ponieważ ludzie, zdaniem wielu, lgną do kin na bardzo dobre polskie produkcje. Rodzimy teatr podbija Europę, a polscy artyści odbierają międzynarodowe nagrody i zaszczyty. Krótko mówiąc, polskie życie artystyczne rozwija się na dobre...

Ja, oceniając stan kultury w naszym kraju, mam mieszane uczucia. Z jednej strony teatry się rozwijają, inne z kolei nie wytrzymują konkurencji i są zamykane. Mamy do czynienia z wysoką i bardzo wartościową kulturą, a także z... taśmową produkcją tandety i kiczu. Nie bez znaczenia dla całości obrazu pozostaje oferta pro-

architektoniczne na fasadach, nie zawsze widoczne w ciągu dnia. Paryż jak mało które miasto w Europie jest bardzo związany z rzeką, a trzydzieści siedem mostów łączy obydwie brzozy Sekwany. Życie toczy się tu nieustannie, spotykają się tutaj grupy młodzieży na zabawie i biwaku, tańczące i zakochane pary, całe rodziny odpoczywające i biesiadujące. Ciekawostką stanowią związani z Paryżem bukiści i kłoszarze z wyboru. Bukiści nad brzegami Sekwany posiadają swoje kramy, na których rozkładają wartościowe starodruki, stare wydawnictwa książkowe i encyklopedyczne, czasem „białe kruki”. Clochard określa człowieka bezdomnego, nędzarza, włóczęgę. Do końca nie jest to trafne określenie, bo La cloche po francusku znaczy „dzwon”, a w gwarze paryskiej - niebo. Clochardzi to ludzie, którzy śpią pod gołym niebem, często pod paryskimi mostami i w tunelach metra.

Paryż to największa skarbnica pamiętek historycznych i dzieł artystycznych. Największe muzeum Luwr jest ciągle oblegane przez różnorodną społeczność świata. Tutaj zwiedzający nie są w stanie zobaczyć wszystkich dzieł wystawianych od starożytnego Egiptu poprzez rzeźbę antyczną grecką i rzymską do malarstwa europejskiego. Wszyscy chcą jednak zobaczyć to, co jest jedyne: Nike z Samotraki, Wenus z Milo i Mona Lizę - największe dzieło malarstwa Leonarda da Vinci.

W dobrym tonie jest również zwiedzić Muzeum d'Orsay urządzone w dawnym dworcu kolejowym Paryża. Jest to jedyne muzeum tej wielkości posiadające kolekcję dzieł francuskich impresjonistów i neoimpresjonistów. Tutaj można zobaczyć początek ich działalności i m.in. rewolucyjne dzieło Edouarda Maneta „Śniadanie na trawie”.

Od lat 70. turyści zwiedzają Centre Pompidou - Muzeum Sztuki Współczesnej. Gigantyczny, wizjonerski sześcian oplecio-

ny jest barwnymi rurami, a stanął na miejscu zlikwidowanych hal w jednej z najstarszych dzielnic Paryża. Zbudowany od podstaw potężny wielopiętrowy gmach, zadziwia wszelkimi instalacjami i mediami komunalnymi, które budowniczowie przynieśli na zewnątrz gmachu.

Na każdym kroku spotyka się paryżan z kochanych trzymających się za ręce. Młodzi, modnie ubrani się obejmują, zapatrzeni są w siebie, spacerują po bulwarach, leżą nad brzegiem Sekwany, są w parkach i na ulicy. Nikt nie robi sensacji, kiedy są to również pary mieszane, o egzotycznej urodzie, również modnie ubrane. Taki jest Paryż, miasto miłości stworzone do miłości. Tutaj istnieje szczególnie atmosfera, jedyna w swoim rodzaju. Tworzą ją: filmy, sztuki teatralne, artyści. Wszystko to przyczynia się do klimatu wielkich, wzniosłych uczuć.

Paryż to także stolica piosenki. Tu śpiewa ulica, tu jest wielka tradycja, kultywuje się to, co przeszło już do historii, a jej symbolem jest Edith Piaf - fenomen, „wróblek” Paryża. Zaczynała jako śpiewaczka uliczna z biednego paryskiego przedmieścia Belleville, jako córka akrobata podrzędnego cyrku. Do dzisiaj słucha się znakomite piosenki wykonywane przez Georges Brassensa - zmysłowe teksty, czasem nieprzystojne, ale zawsze cieszące się dużym wzięciem. To samo można powiedzieć o Charles Aznavour, który czasem nie śpiewa, a krzyczy, ale robi to z dreszczykiem, porywa słuchaczy. Wiele młodych ludzi śpiewa i marzy o karierze, bo nigdzie na świecie nie usłyszysz tylu znakomych początkujących piosenkarzy. Kunszt ich osiąga poziom najwyższy, występują w wielkich music-hallach, w teatrach rewiowych, w setkach różnych piwnic - boites i kabaretów.

Wieczorem i w nocy Paryż się szczególnie ożywia - jak żadne inne miasto na świecie, tętni niepowtarzalnym życiem największych ekskluzywnych lokali, restaura-

cji i ulicznych kawiarni. Największe renomowane kabarety to głównie słynne „Moulin Rouge” na Montmartre - miejsce narodzin kankana, rozślawione przez malarza Toulouse-Lautreca. Największe paryskie musicale otwierają podwoje: „Lido” przypomina amerykańskie Las Vegas, a najstarsze „Folies Bergeres” stanowi największą scenę. W słynnej „Olimpii” występują największe gwiazdy światowej estrady. Paryż jest centrum światowej rozrywki.

Paryż to wytworna sztuka kulinarna i nieskończona ilość różnych gatunków dobrych win. To specyficzne jedzenie, lekkie pożywienie. Kuchnia śródziemnomorska miesza się tu z atlantycką oraz z typową europejską. Specjalnością paryskiej kuchni to lekkie śniadanie: baguette - znana chrupiąca długa bułka, croissanty - śniadaniowy rogalik z ciasta francuskiego i bułeczki z małą kawą. Najdłużej paryżanie celebrują obiadokolację - zaczynają wieczorem i kończą późną nocą. Całymi rodzinami się spotykają w ulubionym lokalu i zjadają na przykład: Moules marinières - mule (omulki) gotowane w rosolu z dodatkiem wina i czosnku, Escargots a la Bourguignonne - gotowane i odpowiednio przyprawione ślimaki (winniczki) włożone z powrotem do skorupki i wiele gatunków serów z mleka krowiego, owczego i koziego. Miłość do jedzenia, smakowania swoich potraw, do delektowania się różnymi gatunkami win, to zajmuje paryżanina.

Po zwiedzeniu Paryża, nawet „w pigułce” - w programie minimum, można się w nim zakochać. Miasto to zawsze będzie nam dostarczać niezapomnianych wrażeń, przybliżać w pamięci wspaniałe budowle i zabytki, zadziwiać rozwiązywaniem współczesnych problemów. Na zawsze Paryż zapamiętamy jako miasto miłości, noszone głęboko w sercu nie tylko przeciętnego Europejczyka.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

kultury



gramowa, jaką serwują stacje telewizyjne i radiowe. Organizowane przez nie imprezy, czy też ulubione przez szeroką publiczność festiwale coraz częściej przeistaczają się w słabe artystycznie spektakle, które mają się nijak do tego, co zwykliśmy nazywać kulturą. Ten najbardziej znany festiwal - opolski, moim zdaniem, już od wielu lat stracił swój magiczny urok, czar i duszę. Z łezką w oku lubię powracać do archiwalnych nagrań z minionych lat. Dzisiejsze podejście samych wykonawców do publiczności po-

zostawia wiele do życzenia. Wyraża się to, chociażby poprzez strój. To najważniejsze święto polskiej piosenki przypomina taśmę produkcyjną, z której schodzą byle jakie produkty. No cóż, parafrazując słowa piosenki Ireny Jarońskiej, „Nie wrócą te lata, te lata szalone...”.

Nadzieję może napawać rozkwit działalności lokalnych domów kultury - mimo że mamy do czynienia z niedoinwestowaniem, wręcz zapaścią państwowej kasy na te cele. Wielu zastanawia się nad tym, czy istotnie mamy do czynienia z „końcem kultury”? Czy prawdą jest powszechnie stawiana teza o marginalizacji, zacofaniu i wyalienowaniu sporej części polskiej populacji, zwłaszcza mieszkańców małych miejscowości i wiosek? Zatrzymajmy się na chwilę i postavmy sobie pytanie: jakie znaczenie ma kultura w życiu człowieka? Obejmuje ona przecież wiele dziedzin, takich jak



dzi twórczych. - I to staramy się robić w konkretny sposób - podkreśla Zbigniew Babiarz-Zych, naczelnik Wydziału Polityki Społecznej. Nie należy to do zadań łatwych. Jak wyjaśnił naczelnik: „samorząd decyduje o tym, ile chce dać, komu i na co? Jeżeli samorządy mają potrzebę i tylko chcą, mogą same decydować. Na tym polega idea samorządności.” Efekty działań słupskiego starostwa zdołały niejednego już „powalić z nóg”. Ja też miałem po raz kolejny okazję brać udział w przedsięwzięciach, które propaguje powiat słupski.

W nowo wybudowanym budynku Domu Kultury w Potęgowie, na przykład 25 maja br. odbyły się XI Powiatowe Obchody Dnia Działacza Kultury. Jego centralnym punktem było wręczenie „Białych Bocianów 2012”. Nagrodami i wyróżnieniami zostały uhonorowane osoby i instytucje szczególnie zasłużone dla kultury naszego regionu. „Białe Bociany 2012” pofrunęły do właściwych rąk. Następnie przyszła pora na uhonorowanie osób za twórczość artystyczną. Jako ostatni, ale równie ważni, podziękowania otrzymali ci bezinteresownie współpracujący z dwumiesięcznikiem „Powiat Słupski”, a zwłaszcza z jego dodatkiem „Wieś Tworząca”. Na program artystyczny złożyły się występy zespołów tanecznych i wokalnych działających przy Gminnym Ośrodku Kultury w Potęgowie. Komu było jeszcze mało artystycznych uniesień i doznań, mógł nacieszyć wzrok arcydziełami z zapalek, jakie własnoręcznie wykonał Witold Orzech z Kobylnicy oraz zachwycić się obrazami Romany Małeckiej z Kwakowa i Anny Dajnowicz z Potęgowa.

Dla poetki Anny Michalak z Naćmierz ten dzień na długo zapisze się w pamięci. Nie kryjąc wzruszenia mówiła: - Jestem bardzo zadowolona. Towarzyszy mi ogrom duchowych przeżyć. Popłakałam się, gdy śpiewały „Potęgowieńki”. Wzruszyłam się niesamowicie.

Bardzo cena okazała się rada pani Anny: „Takie imprezy dają przysłowiowego „kopa”, na zasadzie: spróbuj zrobić coś u siebie. Jak dostaniesz „kopa” to spróbuj ponownie.”

Z kolei pani Halina Staniszevska ze Słupska była pod ogromnym wrażeniem miejsca, w którym wszyscy się znajdowali. Wielkość, wnętrze i drewniana konstrukcja sklepienia nowo wybudowanego obiektu skojarzyła się jej z Arką Noego. Jak zauważyła: „Głos roznosił się wspaniale, a scena umieszczona w centrum robiła piorunujące wrażenie.”. Cała sala dosłownie „pękała w szwach”. Przyjechali mieszkańcy z najodleglejszych zakątków naszego powiatu, w tym silnie reprezentowana była nieformalna grupa poetów nieprofesjonalnych, skupionych przy słupskim starostwie. Oby wydarzeń kulturalnych z takim rozmachem było więcej.

Jacek Kopyłowski
Słupsk

sztuka, architektura, literatura czy muzyka. Obcowaniem z kulturą jest zarówno wizyta w muzeum, jak i oglądanie teleturnieju. Twórcami kultury nie są tylko wybitne jednostki, ale ogół społeczeństwa. Coraz częściej domagamy się, czy wręcz żądamy, by to gminne ośrodki organizowały więcej zajęć i podawały gotowe rozwiązania oraz propozycje na przysłowiowej „tacy”. Gdy już dochodzi do czegoś, to okazuje się, że te sprawy interesują wszystkich, ale jak najmniej mieszkańców gminy. Nie twierdzę, że tak jest w każdym małym ośrodku, ale niejednokrotnie tak wygląda polska rzeczywistość.

Tymczasem poprzez historię i kulturę odkrywamy przeszłość tych, którzy żyli i mieszkali przed nami. Ma to ogromne znaczenie dla dalszej przyszłości i pomyślności każdego narodu. Nasylenie i kondycja placówek kulturalnych w poszczególnych regionach Polski jest bardzo różna. Zależy to od wielu czynników. Na pewno trudniejsza sytuacja panuje na terenach wiejskich, oddalonych od większych miast. Jednak paradoksalnie, to właśnie w tych małych ośrodkach, mimo wielu ograniczeń, zauważam większą solidarność i silniejsze więzi międzyludzkie. Na niski potencjał kulturowy tych obszarów składa się zły stan infrastruktury i niedostateczna liczba inicjatyw podejmowanych przez mieszkańców lub lokalnych animatorów kultury. Często jedynym ośrodkiem kultury na terenach wiejskich pozostaje biblioteka, a świetlice lub domy kultury, których podstawową funkcją jest umożliwienie uczestnictwa w różnych zajęciach kulturalnych, nie spełniają pokładanych w nich nadziei. Nie ma kultury bez człowieka i nie ma człowieka bez kultury. Chciałoby się dodać, że sam człowiek jest także przedmiotem i celem kultury. Kultura będąc dziełem człowieka, jest dla człowieka. Tak przynajmniej powinno być.

Czy młodzież wiejska i ta zakorzeniona w miejskich aglomeracjach - to dwa różne i odrębne światy? Być może trudno jest dać jednoznaczną odpowiedź. Prawdą jest, że ta pierwsza, mieszkająca na wsi częściej

zdana jest na oglądanie telewizji, rzadziej korzysta z kin, teatrów i innych miejsc związanych bezpośrednio z kulturą. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź wydaje się być prosta i logiczna. Otóż, w małych miasteczkach i na wsiach nie buduje się takich instytucji i placówek. Przez to młodzież z terenów wiejskich ma ograniczone możliwości wyboru, ponieważ w ich najbliższej okolicy nie ma miejsc, które mogłyby jej zaoferować zagospodarowanie czasu wolnego. Aby móc z nich pełnoprawnie korzystać, całkowicie uzależniona jest od transportu. Im mniejsze miejsca zamieszkania, tym ten dojazd staje się bardziej skomplikowany. Cała społeczność wiejska jest praktycznie na przegranej pozycji, ponieważ nie jest w stanie korzystać z ofert szkoły bądź domu kultury. Wpływa to na ograniczenie możliwości rozwoju, a także na jakość edukacji. Problem z dojazdem to jeden z podstawowych czynników wpływających na możliwości działania i uczestnictwo w kulturze wielu osób.

Jest jeszcze jedna, dosyć istotna sprawa. Na tzw. peryferiach bardzo rzadko dochodzi do organizowania różnych imprez przez urzędy gmin bądź powołane do tego instytucje. Wiąże się to z brakiem wystarczających funduszy oraz coraz częściej podnoszony jest argument, że w niektórych miejscowościach nie ma wystarczającej liczby potencjalnych zainteresowanych. Jest to zupełnie nieuzasadnione stwierdzenie. W takich sytuacjach inicjatywa należy zawsze od lokalnych społeczności.

Podsumowując moje rozważania dochodzę do przekonania, że kulturalny potencjał mieszkańców wsi tworzy się wolniej niż w miastach. Głównie winny doszukuję się w warunkach zewnętrznych. Jak głosi porzekadło: „z pustego to i Salomon nie naleje”. Jednak w żadnym wypadku nie może to być czynnik usprawiedliwiający. Niedawno usłyszałem: „Na wsiach nie zaczęły nagle budować filharmonii, ale widać zachodzące powoli zmiany w mentalności ludzkiej”.

Słupskie starostwo, co warto podkreślić, jako jedno z nielicznych wspiera lu-

Podzielić się duszą

Trochę się spóźniliśmy, ale dzięki uprzejmości dyrektora biblioteki obejrzelśmy wszystkie pomieszczenia. Zaczęliśmy od biblioteki. Duża, przestronna. Dyrektorka, przeziębiona wielbicielka książek z zapalonym opowiadała o księgozbiorze i planowanych zajęciach. Z rozmarzeniem mówiła, jak to nowa biblioteka przyciągnie nowych czytelników. Słuchałam trochę ze sceptycyzmem, bo z doświadczenia wiem, iż nowość przyciąga tylko na chwilę. Ale podobał mi się jej stosunek do słowa pisanego. Ja mam podobne - lubię czytać i lubię mieć własną książkę...

Dwie czytelnie - dla dorosłych i dla dzieci. Wizja pochylonych nad książką w skupieniu czytelników w dobie Internetu? W czytelni dziecięcej szarobure płytki, aż się prosiły o kolorowy dywanik, bo dzieciaki najchętniej oglądają i czytają na podłodze.

W obiekcie znalazło się miejsce na prezentację prac. Na otwarcie namiastkę swoich obrazów zaprezentowała Ania Dajnowicz. Wspaniałe kompozycje. Staliśmy na bezdechu, nie mogąc oderwać oczu, bo piękne, bo twórczyni to nasza krajanka, znamy ją już wiele lat.

Wróciliśmy na salę widowiskową, gdzie trwał przegląd artystyczny licznie funkcjonujących w gminie zespołów. Niestety, akustyka była fatalna i nie rozumiałam słów, płynących ze sceny. Konferansjerkę prowadziła dyrektorka nowego centrum Joanna Basiak. Między występami artystów ze sceny płynęły informacje o zasłużonych dla powstania tego obiektu. Wójt Jerzy Awchimien zdecydowanie twierdził, że jest to „dziecko” dyrektora J. Basiaka, natomiast dyrektorka podkreślała, że bez Rady Gminy i wójta projekt nie zaistniałby...

Zobaczyliśmy naprawdę dobrą robotę. Po niespełna dziesięciu miesiącach, 25 maja br. w tymże Centrum odbył się XI Powiatowy Dzień Działacza Kultury. Jest to święto wyjazdowe Starostwa Powiatowego, na którym wręcza się nagrody Białych Bocianów zasłużonym dla kultury. Każdego roku odbywają się w innej gminie. Wtedy to lokalna społeczność ma okazję zaprezentować swoje osiągnięcia i prace na niwie kultury. O tym, kto i za co otrzymał nagrodę nie będę się rozpisywała. Chcę podzielić się wrażeniami.

Z wielką przyjemnością słuchało się piosenek Anny Pożlewicz. To profesjonalistka i śpiewa to jej kawałek chleba. Przywołała bardzo stare piosenki, np. „Czerwoną jarzębinę”, śpiewane jeszcze przez moją mamę. Przeniosła mnie w czasie do uśmiechniętej mamy, zrywającej owoce jarzębiny i nucą-



Fot. J. Maziejuk

cej tę piosenkę. Publiczność, mimo że przeżywała młodość, słuchała z dużym zainteresowaniem. Chyba młodzi ludzie nie bardzo pamiętają przeboje lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy muzyka i słowo musiały współgrać i nawzajem się uzupełniać.

Niewątpliwie wrażenie na mnie wywarł Mieczysław Kymiski, który zaprezentował swoje wiersze. Trzeba mieć dużo odwagi, by wystąpić przed tak szerokim grremium. Myślę, że poezja lepiej się czuje w kameralnym gronie.

Saksofoniści „Jazz Team” - młodzi ludzie, których po raz pierwszy zobaczyłam i usłyszałam na uroczystościach otwarcia poczynili duże postępy. A przecież to tylko zajęcia w czasie wolnym, ćwiczenia od przypadku do przypadku. W końcu ważniejsza jest szkoła, uczelnia.

Przyznaję się, że z wielką niecierpliwością czekałam na występ zespołu „Chanter”. W jej składzie występują trzy dziewczyny, które znam osobiście i śledzę ich losy. Martyna - uczyłam ją języka polskiego. Cichutka, skromna, pisała wiersze i otrzymywała wyróżnienia. Nie podejrzewaliśmy w nauczycielskim gronie, że ma jeszcze je-

O uroczystym otwarciu Gminnego Centrum Kultury obwieszczały plakaty. Pojechaliśmy z czystej ciekawości. Warto było

den talent - piękny głos. A odkryła to przypadkiem nauczycielka muzyki, organizując szkolny chór. Kiedy oznajmiła w pokoju, że Martyna pięknie śpiewa, zapadło milczenie. Sześć lat chodziła do tej szkoły i nikt tego nie odkrył? Przecież ma ojca muzyka! On też nie zauważył talentu? No i się zaczęło. Martyna zdążyła zdobyć dla szkoły sporo nagród na konkursach piosenkarskich. Zuzia - jedna z najbardziej subordynowanych uczennic. Przez osiem lat nie opuściła ani jednego dnia nauki. Niespecjalnie się więc zdziwiłam, gdy po latach wróciła do naszej szkoły jako nauczycielka muzyki i plastyki, szczególnie uwielbiana przez maluchy, w tym mojego wnuka. Współpracując z Martyną przysparza chwały szkole w Łupawie i gminie. Znam również Kasię. Jej talent został odkryty jeszcze w zerówce. I zawsze reprezentowała szkołę na konkursach, uświetniała szkolne imprezy. I nigdy nie zdarzyło się, by nie doceniono jej głosu. Jeszcze jest Karolina i Agata.

Zespół wykonał trzy utwory.

Konferansjerkę prowadziła dyrektor Centrum. Drobna, szczupła w pięknej czerwonej sukience (osobiście uwielbiam czerwony kolor), czuła się swobodnie przed publicznością. Muszę przyznać, iż jej sposób zwracania się do publiczności trochę mnie na początku irytował. To „kochani” wydawało mi się trochę zbyt poufałe, bo jaka to ja jestem „kochana”? Pachniało mi to populizmem i pochlebstwem wobec publiczności. Do czasu! Na scenie pojawił się zespół „Wista Wio”. Dyrektor przebrana w strój zespołu zaczęła przedstawiać członkinie. O każdej powiedziała coś miłego i sympatycznego. Opowiadała o wieloletniej przyjaźni, o zażyłości, o spotkaniach poza sceną i robiła to z takim wdziękiem i tak sympatycznie, że wreszcie pojęłam. Spontaniczność, życzliwość, ciepły stosunek do innych to nie poza, ale wrodzony, naturalny sposób bycia tej pani. I stołek dyrektorski nie zmienił tego!

Ostatni wystąpił Piotr Pędzich. Wykonał na skrzypcach „Odejdźcie pasterza”. Publiczność oniemiała, a mnie się trochę popłakało. Po występie przeżył obłędnie tłum zauroczonych muzyką. Nie pierwszy zresztą raz. To było jak katharsis i preludium do obejrzenia wystawy obrazów Anny Dajnowicz i Romany Małeckiej. Nie mam słuchu ani talentu do rysunku i nie wiem, dlaczego te dwie dziedziny wywołują we mnie taką lawinę uczuć, których nie mogę nazwać, a cóż dopiero opisać. Niby słyszę w duszy dźwięk i niby pod powiekami mam obraz. Ale po wyjściu tychże na zewnątrz...! Szkoda gadać. Bukiet można sfotografować, ale taka fotografia nie ma duszy. Dźwięk można nagrać, ale też pozbawimy go duszy. A namalować i zagrać to podzielić się własną duszą i sercem.

Jestem dumna, że Powiatowe Obchody Dnia Działacza Kultury odbyły się w naszej gminie.

Teresa Nowak, Łupawa

„Kultura, głup

Popularny program TV „Kultura, głupcze” zachęcił mnie raz jeszcze do napisania kilku uwag na ten temat. Myśli moje mąci jednak dylemat - czy pisać o kulturze, czy o głupcach?



Trudno pogodzić tak odległe treści pojęciowe. To tak, jakby zaprzęgnąć do jednego wozu i konia, i osła lub - jak to określił Sławomir Mrożek - i wołu, i świnie. Bardziej celny do moich przemyśleń pasowałby tytuł „Głupcze, kultury”. Ale i taki tytuł nie odda istoty moich spostrzeżeń. No, chyba że wspomogę się szkolną zagadką zadaną kiedyś moim uczniom: Czym różni się człowiek kulturalny od inteligentnego? Tym, że człowiek kulturalny - jeśli wyrządzi ci krzywdę - przeprosi. Inteligentny zaś - nie wyrządzi ci żadnej krzywdy. (Chyba że powiedzenie komuś prawdy o nim - zrozumie jako krzywdę.)

Znana wszystkim aktorka (także z nienagannych manier) Magda Zawadzka (Basia z „Pana Wołodyjowskiego”) dokonała publicznie następującej klasyfikacji ogromnej części społeczeństwa, mówiąc: „Chamstwo dzieli się na - reformowalne, niereformowalne i... korzenne.” Wracając do „korzeni” - zaobserwowałam swoisty paradoks. Uważałam zawsze, że powinno

się kłaniać każdemu człowiekowi. I nieważne - żeńskiego, czy męskiego rodzaju. Poza tym, ukłonić się powinna osoba, która pierwsza zobaczy - drugą. Pominę już milczeniem uprzedzającą zależność wiekową czy intelektualną.

Ze zdziwieniem obserwuję, że niektóre młode panie w wieku produkcyjnym i o zdolnościach wyłącznie do prokreacji, za swój atut i tożsamość uważają - nie wrodzony im wstyd egzystencjalny, ale - anatomiczne atrybuty kobiecości. A ja myślałam, że kłaniam się człowiekowi, a nie „temu - czemuś”, co najbardziej żeńskie. Wnioskuje więc, że są to panie lekkie, lżejsze i najlżejsze. Rozwinięte jak główka kapusty nie wiedzą, że uroda i wdzięk kobiety, to - umysł, honor i pasja. Zrozumieć więc nie mogę, w którym to anatomicznym miejscu zawiera się (w ich wyobrażeniu) powab, wdzięk i uroda. Ta sama uwaga dotyczy też niektórych „panów”. Gdzie ci mężczyźni, wspaniali tacy?” - dziwi się niejeden człowiek (pani, pan), bo nie tylko dziwiła się

głupcze”

Danuta Rinn przecież. Co ja tak narzekam. Przecież nie ma złych dzieci, są tylko źli rodzice. To taka nieświadoma matryca. (Te osoby sięgnęły kulturowego dna, bo mają takie DNA). Z drugiej strony, jeśli nie „Kultura, głupcze”, to „Miłosierdzie, głupcze”.

Oczywiście część młodych kobiet i mężczyzn spełnia moje kulturowe oczekiwania, bo rozwijają swoją tożsamość - nauką, pracą i duchowym autentyzmem. O nich nie piszę, choć to oni urzeczywistniają moją tęsknotę - „czas, żeby wreszcie przytrafił się człowiek”. Większość, niestety (moim zdaniem) to - wydmuszki i balony. Niechby sobie były. Tylko - ile to miejsca zajmuje na przykład w domu, pracy czy społeczeństwie?

Śmiech to sprawa poważna. Szczególnie - autoironia. Trzeba i czasem nawet wypić, żeby trzeźwo spojrzeć na życie. Szerokie rozumienie pojęcia „kultura” - zawiera nie tylko życie, ale i śmierć. Zawodową i biologiczną. Zmysłów i umysłu. Śmierć zawodową (emerytura) los mi wyznaczył z początkiem 2013 roku. W związku z tym bardzo miłym epizodem nabyłem już drogą kupna kilka zgrzewek piwa (dla świadków mojej zawodowej śmierci) i... kilka zgrzewek zniczy (żeby mieli poczucie oświeconych). „Nie ma matematyki bez łoża” - przypominałem sobie myśl, która - w przypadku mojej emerytur(ki)y - stanowić już będzie „memento mori”. Trzeba jednak pokonać lęk i łyż. Wprawiając się do nowej (?) roli emeryta, polubiłem wszelkie drobienia kulinarne, na przykład takie. jak: kiełbaska, szyneczka, ogóreczek, kapustka czy kotlecik. Chociaż o kotlecie już powoli zapominam. (Dziś na przykład przygotowałem sobie na obiad gołąbki. Mam trochę mielonego i kapustę brukselkę). Te idiotyczne zdrobnienia nawet ładnie brzmią: Na A4 był wypadek. Jakiś kretynekjechał po piwku, choć miał prawko - uderzył w drzewko... Wydawnictwa kulinarne też proponują oszukańcze metody zdrabniania, na przykład: Ryba - na sto sposobów. Ja jednak wolę sto ryb - na jeden sposób!

Myślę też o przedostatnim zestawie wypoczynkowym typu „Poczekalnia”. Kiedyś popularny był zestaw „Syberia”. Komplet ten zawierał: matę do spania, wiadro do sr...a, gwóźdź na kufajkę i hak na bałajkę. Duch czasu obecnego, którego źródłem aktywności społecznej nie jest już państwo - we rolnictwo, tylko krytyka polityczna i polityka krytyczna minionego „zbrodniczego ustroju” spowodował bardziej opłacalną działalność. Inna, transformacyjna burza

mózgów wymyśliła nowe zestawy wypoczynkowe typu „Ustawka”, „Acta”, „Teczka”, „Mobing”, czy „Albert”. Wprawdzie tańsze są od zestawu „Syberia”, ale droższe są koszty społeczne. W zestawie tym (zaocznym) nie tyle leżysz, co - siedzisz. Zamyślonny, zawstydzony, zapomniany, z poczuciem braku logiki i przydatności swej dotychczasowej (bo w PRL-u) pracy. Co ojciec zbudował, to syn „przechcił”. Szczególnie siebie! Zmienił tylko pomniki, nazwy ulic, osiedli, a nawet - nakrycie głowy. Zaprojektował też sobie (poprzez inkubator przedsiębiorczości) wygodniejsze zestawy, na przykład: „Kominek” (płacowy), „Projekt” (unijny) czy „Spółka” (z o.o.).

Osiągnięta wolność jest ambiwalentna. Polska kojarzy mi się teraz dziwnie ze „Słownikiem wyrazów obcych”. Sukces jednego - powoduje porażkę drugiego. Polska jest oczywiście ojczyzną wszystkich Polaków, ale majątek - już nie. Ja, w swoim (za długim życiem osiągnięty sukces ustrojowy mierzę - wątpliwościami. Nie - pewnikami. Jedynym moim pewnikiem jest przekonanie, że Kain nie umarł bezpotomnie.

W myśl zasady, że przezorny zawsze ubezpieczony, poczyniłem też - jeśli nie pierwsze, to ostatnie - kroki zmierzające do wygodny po śmierci biologicznej. Zasiłek pogrzebowy wynosi cztery tysiące złotych. Garnitur już mam - 100 proc. wełny: marynarka - 40 proc., spodnie - 40 proc. i kamizelka - 20 proc. W ramach treningu ekonomicznego pomyślałem o ostatnim zestawie wypoczynkowym (trumna i dwa lichtarze), także o ostatniej drodze poziomej (i na poziomie), tj. przejazdzie taryfą w kształcie karawanu z wózkiem widłowym. Liczę też na mały identyfikator personalny (tabliczka), bo ochrona danych osobowych już nie będzie obowiązywać.

Przeglądając stosowne oferty handlowe, zainteresowały mnie dwie reklamy. Pierwsza - „W naszych trumnach wyglądasz jak żywy”, druga - „Sosnowe są tańsze, ale dębowe - zdrowsze”. Wybrałem drugą ofertę, bo wolę być zdrowszy niż żywszy. Żałuję tylko, że tak znaczący epizod mojego życia odbędzie się w dniu powszednim. (Och te weekendy!)

Mój spoczynek wieczny w „Ziemi Obiecanej” będzie trwał dwadzieścia lat. Liczba oczekujących (i to od urodzenia) jest tak ogromna, że te dwadzieścia lat, to - wieczność. Tylko dół porożę wykopac głęboki, żeby komornik nie zlicytował mi dębowej trumny na poczet długu. Jeden ustrój społeczny już przeżyłem. Drugiego - z ludzkim obliczem - nie przeżyję. Na szczęście.

W międzyczasie zamienię się w proch. Mam nadzieję - strzelniczy. Administracji mojego spokojnego osiedla odradzam meldowania do mojego M-1 kogokolwiek znajomego, bo eksploduję, odwracając na-

turalny dotąd proces chemiczny, jakim jest - samotworzenie i samolikwidacja.

Niekoniecznie jednak trzeba umierać, żeby być w raju lub piekle. Poza tym, niebo i piekło realizują się jednocześnie. Jeżeli na przykład starsza pani (lub starszy pan) zwiąże się intymnie z dużo młodszym partnerem (lub partnerką), to ci starsi czują się jak - w niebie, a ci młodszy jak - w piekle. Dla tych pierwszych jest to - nagroda (za nieudane dotąd pożycie), dla drugich - kara (za uzależnienie seksualne). I co, „hulaj dusza, piekła nie ma”? A że szczęście zmienia się w nieszczęście (i odwrotnie) - to już inna sprawa. Nawet ja oglądam się jeszcze za dziewczynami, choć zapominam, po co. Nieszczęście to czy szczęście?

Panta rei. Wszystko się zmienia. Ekonomia, polityka, kultura, ustroje społeczne, wartości i autorytety. Niezmienne jest tylko jedno - głupcy. Choć głupota jest źródłem wszelkiego „dziania się”, to naprawianie tego zła jest bezskuteczne. „W nienawiści i kłótni wydzierają coś sobie, aż zmęczeni i smutni, pójdą przespać się w grobie”. Chociaż o miejscu i stanie naszej świadomości decyduje znowu „Ekonomia, głupcze”, to próbujmy chociaż wierzyć, że „Kultura, głupcze”. Mieć poczucie wartości tego, że jest się pożytecznym, to jedyny majątek.

Pozostało mi jeszcze obmyślić jakieś dydaktyczne epitafium - dla przyszłych pielgrzymów nawiedzających moje miejsce spoczynku. Nie spodziewam się ich wielu, bo czytanie ze zrozumieniem do najłatwiejszych nie należy. Liczę tylko na „braci mniejszych” i to z kulawą nogą. Im też zostawiam swój „majątek intelektualny”, choćby na ocieplenie (czyt. - psu na budę). Oddam też wszystkie organy po śmierci, a jeden - to jeszcze za życia. (I nie jest to serce). Za cholerę jednak nie mogę znaleźć „biorcy”. Cóż, kiedyś myślałem - „majtki nie pokrzywa”. Teraz myślę - „śmierć nie wesele”. O wschodzie (w stanie maniakalnym) wymyśliłem napis: „Żyłem źle, żyłem dobrze. Dałem wiele z siebie. / To sztuka zażyć świata i jeszcze być w niebie”. O zachodzie (w stanie depresyjnym) inaczej ująłem swoje życie: „Walczyłem jak - LEW. Padłem jak - MUCHA. Byłem - AMANT. Jestem - AMEN”. Ostatecznie - wybrałem swoją definicję szczęścia dla ludzkości czelakopodobnej: „Kto na swojej drodze życia spotkał choć raz Klemensa R. - może zacząć mówić o szczęściu!!!”

Apeluję na koniec (do znajomych z „GSL”-u, choć ci z „GS”-u też nie są lepsi) - weźcie do serca moją definicję szczęścia. Tylko - zastanawiam się - po co człowiek żyje, skoro to, na co czeka nigdy nie nastąpi. Dopóki jednak człowiek walczy - jest zwycięzca.

A śmierć jest skutkiem winy nie mojej. Tak więc - wszystko jest grzechem, bo wszystko można zrobić lepiej.

Klemens Rudowski, Słupsk

Flagowiec powiatowej

Czestaw Guit to osobowość nietuzinkowa... to obywatel świata

Gdy przestał być zawodowym marynarzem osiadł w „Lubuńskim Porcie” w gminie Kobylnica, w dawnym budynku szkoły. Założył tam warsztat stolarski, potem zaczął się remontami statków. Jako czynny społecznie emeryt nadal obecny jest na szlakach lokalnej kultury. Jest interdyscyplinarnym twórcą - amatorem, zwłaszcza plastykiem, któremu nie obca jest malowanie na szkło, ponadto jest po trochu poetą, publicystą - propagatorem rodzimej - współczesnej kultury.

Sam siebie często określa mianem inżyniera z duszą artysty, mówiąc, że jego pasją jest marynistyka, historia, budowa okrętów, modelarstwo i malar-



Według podań Kaszubów Stolem był taki sam jak ludzie, ale był niepospolicie silny i wysoki na tyle, że przewyższał leśne sosny. Stolemowie nosili długie jak len jasne włosy. Gdy jeden z nich siedział na jednym brzegu jeziora, a drugi na przeciwnym to mogli sobie bez wysiłku podać róg z tabaką. Z kolei, gdy szli, to pod ich nogami drżała ziemia, że aż w piekle słyszano. Byli tak mocarni, że potrafili rzucać największymi kamieniami niczym kołaczami. Swoją moc mieli z tego, że żywili się końskim mięsem i pili także końskie mleko. To oni na kaszubskich jeziorach usypali wyspy i ostrowy, a nawet niektóre z nich całe zasypywali; w tych miejscach są dzisiaj łąki. Niestety przyszedł kiedyś czas, w którym oni wymarli...

Kazimierz Kostka herbu Dąbrowa jest wielopokoleniowym Kaszubem. Urodził się w 1945 roku w Wejherowie. Po szkole podstawowej uczył się rzeźbiarskiego fachu u znanego kościerskiego rzeźbiarza Franciszka Greinke. Po maturze zdobył zawód technika budowlanego i pracował w różnych zakładach. Od 1984 roku mieszka w Wodnicy koło Ustki. W 1985 otrzymał uprawnienia do pracy w zakresie plastyki. Od 1992 z przerwami przebywał w Niemczech. Jest człowiekiem o wielu zamiłowaniach i talentach nawiązujących do tradycji i kultury nie tylko kaszubsko-pomorskiej, ale także do historii swojego staropolskiego rodu, z którego wywodził się św. Stanisław Kostka, patron Polski. Rodu, w którego szeregach byli biskupi i senatorowie, a wśród nich też Jan Kostka herbu Dąbrowa

(1529-1581), m. n. były sekretarz królewski, podskarbi ziem pruskich, ekonom malborski, kasztelan gdański, malborski, płocki, golubski i lipieński. Stał także na czele Komisji Morskiej, uczestnicząc w organizacji polskiej floty wojennej. Był zwolennikiem unii Prus Królewskich z Koroną. Dwukrotnie (1573, 1575) kandydował na króla Polski (za pierwszym razem poparł Henryka Walezego, za drugim - Annę Jagiellonkę).

O tych i innych ciekawostkach dotyczących rodu Kostków możemy się dowiedzieć z opracowań brata Kazimierza - Jerzego Kostki z Koszalina, który jest autorem książki pt. „Historia jednego rodu”. Zawarł w niej aż dziewięćdziesiąt osiem biogramów, doprowadzając rodzinne dzieje od XII do XXI wieku. W 2011 roku w Kościerzynie uhonorowano okolicznościową tablicą dwóch kolejnych Kostków z tego rodu - wybitnych działaczy niepodległościowych, a potem samorządowych w II RP: Stanisława Bolesława Kostkę - pierwszego burmistrza Świecia i Józefa Kostkę - uczestnika walk niepodległościowych, członka Związku Weteranów Powstań.

Kazimierza Kostkę już kiedyś prezentowałem. Tym razem przyczynkiem do przypomnienia tego twórcy była otwarta niedawno w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku imponująca wystawa zatytułowana „Kazimierz Kostka - rzeźbiarz z Witkowskiego Wzgórza”. W powojennych izbach Zamkowego Młyna prezentowana była nie tylko twórczość rzeźbiarska artysty, ale też jego malarstwo i motywy poetyckie. Rzeźby Kostki prezentują zawsze wysoki kunszt

Kaszu

Z tego artysty emanuje siła kaszubskiego Stolema i góralskiego Janosika



kultury

stwo. Stąd tematów swych prac poszukuje w najbliższym otoczeniu. Lubi tworzyć portrety ludzi, a w pejzażach utrwalac uroki starych kościołów. Drugą, nie mniejszą jego pasją jest działalność społeczna. Jest członkiem i działaczem lokalnych organizacji twórczych, m.in. Klubu Amatora Plastyka im. Stefana Murawskiego w Słupsku. Jest również członkiem Stowarzyszenia Polskich Mediów w Warszawie. W swojej gminie i powiecie słupskim jest doceniany za bezinteresowność i jako darczyńca. Nie wyobraża sobie, by jego twórczość nie była obecna na rozlicznych wystawach, zarówno w salonach słupskiej sztuki (Muzeum Pomorza Środkowego, Kaplicy św. Jerzego) czy w ośrodkach kultury w gminach powiatu, poczynawszy od rodzimej w Kobylnicy. Na przykład podczas wystawy w świetlicy wiejskiej w Kruszynie zorganizowano zajęcia, na których dzieci starały się odwzorować prezentowane na nich jego prace. Namalowane niektóre obrazy były włączone do wystawy artysty za-

tytułowanej: „Na wiejską modłę: Lubuń sentymentalny”.

Jak dotąd swój dorobek prezentował na ponad czterdziestu wystawach zbiorowych. W ubiegłym roku miał swoją indywidualną wystawę w Galerii św. Jerzego w Słupsku, którą zorganizował mu Klub Plastyka Amatora. Zatyłował ją „Od maneżu do wiatraka, od rolnika do rybaka”. W tym roku podczas tegorocznego powiatowego święta działaczy kultury w Potęgowie otrzymał nagrodę „Białego Bociana 2012”. W uzasadnieniu przyznania tej prestiżowej nagrody jej kapituła tak m.in. napisała: „Czesław Guit jest osobą niezwykle wrażliwą artystycznie, godną naśladowania, stanowi swoisty wzorzec twórcy otwartego na kontakty z ludźmi i odbiorcami sztuki. To również nauczyciel, animator sztuki. (...) Jego dorobek jako malarza jest nietypowy. Organizuje spotkania ze sztuką i rozmowy z ludźmi o sztuce w ich środowiskach (...), choć wyraźny indywidualista... jest doceniany - w tym za bezinteresowność i jako darczyńca. (...) Zorganizował m.in. wystawy: „My z Lubunia - Portrety grawerowane sąsiadów”, „Lubuńskie klimaty - impresje okienne z przyrodą w tle”, „My z Krainy w Kratę - stare obiekty i zabudowania Lubunia i okolic”, „Ną wiejska modłę - Lubuń

sentymentalny”, „Od rolnika do rybaka”. To była forma skutecznej reklamy wsi poprzez dostrzeganie interesującego człowieka w lokalnej społeczności (...). Posiada ten walor, rzadki w zglobalizowanym świecie, że chce być słyszalny i widzialny, a w miarę możliwości wysłuchany i dostrzeżony. Jego postawa, aktywność i efekty wykraczające poza przeciętność, są nie tylko konkretnym dobrem autora, ale i wsi, w której mieszka, gminy, powiatu, są uniwersalnym wzorem, jeśli nie do powielenia i naśladowania, to przynajmniej do wykorzystania...”

Obecnie w słupskim Muzeum Pomorza Środkowego wystawiane są jego prace malowane na szkłe. Tytuł tego cyklu to: „Pomorskie pejzaże malowane na szkłe”. Wystawa ta stanowi niejako załącznik do pokazu malowania na szkłe, jaki zaprezentował podczas tegorocznej Nocy Muzeów.

Czesław Guit współpracuje także z Fundacją Naji Goché i magazynem regionalnym o tym samym tytule. Ta współpraca dobitnie zaświadcza, że artysta nie zamyka się w opłotkach swej wsi, gminy czy powiatu, a jest twórczo otwarty na cały obszar kaszubsko-pomorskiego regionu.

Zbigniew Talewski
Słupsk

ubski Stolem

artystycznej prostoty. Przekazuje nam w nich różnorodny i bogaty ładunek zawartych idei. Nie przeszkadza, że wykonuje je techniką ciesielską, która, zdawałoby się, nie jest zdolna oddać pełni artystycznej ekspresji. Ludowość warsztatowa umiejętnie wydobywa przesłania nawiązujące do

kaszubsko-pomorskiej tradycji, do jej bogactwa, odwiecznej siły jedności z przyrodą i Bogiem.

Poza drewnem tworzyłem artystycznym Kostki jest także kamień, są kości i jest bursztyn. W ostatnich latach z powodzeniem próbuje również swoich sił w trudnej sztuce metaloplastyki oraz konserwacjiabytkowych mebli. Maluje swoje marzenia senne.

Kolejna prezentacja jego prac ekspozowana w Zamkowym Młynie nawiązywała do ubiegłorocznej wystawy: „Kazimierz Kostka - rzeźbiarz Bożej Prostoty”, którą zorganizował słupski Klub Plastyka im. Stefana Murawskiego. W 2007 roku miał wystawę w Muzeum w Darłowie. W 2001 brał udział w festiwalu folklorystycznym w Portugalii. W 2004 roku uczestniczył w plenerze w Zgierzu, gdzie zastawił ponad 3-metrową rzeźbę. W czerwcu 2005 był na światowym sympozjum rzeźby w kamieniu w Durbuy w Belgii. Tworzył także w 2007 roku na Sycylii w Vita, gdzie pozostawił w miejscowym kościele rzeźby czterech ewangelistów. W 2005 wykonał rzeźbę Mikołaja Kopernika dla Liceum Ogólnokształcącego w Ustce i 5-metrowego, „Witacza” dla Wodnicy. W Borowym Młynie na Gochach stoi jego rzeźba Chrystusa Obrońcy, Kapliczka -

pieta Borowiackiej Materki i rzeźba Kłęczącego Wojaka przy Grobie Nieznanych Żołnierzy. W Strażnicy Pamięci Komendanta Wojskowego TOW „Gryfa Pomorskiego” Józefa Gierszewskiego (mjr. Rysia) na terenie leśnictwa Dywan stoi wyrzeźbiony symboliczny brzoźowy krzyż jego dłuta.

Ten artysta w swoim dorobku ma ponad tysiąc rzeźb w drewnie, rogu, kamieniu, bursztynie. Rzeźbi pastuszki, grajków, kapele, ciężarowców, portrety, macierzyństwo, konie, zaprzęgi, łodzie itp. Biegle operuje dłutem, nożem i siekierą. Jednym z większych jego osiągnięć jest wykonana w drewnie „Kaszubska Kapela”, która weszła w skład sopockiego Ołtarza Papieskiego. Systematycznie bierze udział w przeglądach sztuki ludowej organizowanych przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Jest wielokrotnym stypendystą Ministra Kultury i Starosty Słupskiego. Zdobywa liczne nagrody i wyróżnienia. Informacje o jego pracy artystycznej ukazują się w prasie i telewizji. Nakręcono nawet o nim dwa filmy: „Kazimierza Kostki rozmowy z diablem”, i „Dwa ołtarze i dwie pielgrzymki”. Napisano dwie prace magisterskie na temat jego twórczości. Jego prace znajdują się w zasobach muzeów: Słupska, Koszalina, Poznania, Wrocławia, Warszawy, Torunia, Darłowa, Zgierza, w wielu kościołach na Pomorzu, w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. Za sprawą jego talentu, ale także specyficznego stroju i postury emanuje z niego siła kaszubskiego Stolema i góralskiego Janosika.

Zbigniew Talewski, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

W 1914 na czas wojny wysiedlano ludność z terenów Podlasia, by nacierającym wojskom niemieckim zostawić „spaloną ziemię”. Maziejukowie z dziećmi, jak większość fornalskich rodzin, musieli podążyć wraz z właścicielami majątku

Chłopskie dziedzictwo

Administracja i władze wojskowe czyniły przygotowania do ewentualnej ewakuacji głównie urzędów państwowych na wypadek wojny. Jednak w 1914, zanim gubernator lubelski ogłosił ewakuację, w niektórych miejscowościach ogarniętych wojną ewakuacja przerodziła się w paniczną ucieczkę, jak na przykład w Janowie Podlaskim. Do bieżenstwa nakłaniały władze carskie i prawosławni duchowni, którzy podgrzewali niepokój. Ludzie ogarnięci psychozą strachu porzucali swoje wioski i wyjeżdżali w nieznane. Opustoszałe zabudowania Kozacy podpalali. Bieżęcy jechali tysiące kilometrów od domu, gdzie żyli w głodzie i chłódzie albo upale. Biedna ludność miejscowa była wobec nich przyjazna, lecz nic w położeniu nie mogła zmienić. Byli świadkami piekła rosyjskiej rewolucji, ale dzięki Bogu w większości rewolucyjne doświadczenia ich omijały. Wielu straciło tam swoich bliskich.

Bronisława Maziejukowa, która wtedy była dzieckiem, po latach opowiadała synom o swojej podróży z Białej Podlaskiej do dalekiego Astrachania, gdzie kawior z jesiotra nie smakował i nie pachniał jak domowy chleb w folwarcznym czworaku w Jagodnicy. Nie zapomniała tamtych przeżyć, odbieranych wrażliwością dziecka. Kiedy wrócili po długiej nieobecności, majątek jagodnicki był zdewastowany, ocalał jedynie barak folwarczy. Maria Szeliska owdowiła, straciła majątek i gotowa była przekazać ziemię jagodnickiego folwarku do parcelacji.

Wokół widoczne były ślady wojennych i rewolucyjnych zniszczeń, które dotyczyły także rodzinę Ceniuków. Przed zamążpójściem Bronisława pracowała w dworskim folwarku, a po roku 1920, kiedy dwór zniszczyli i splądrowali bolszewicy, wynajmowała się do pracy we dworze w Witulinie, gdzie gospodarował Feliks Wężyk. W 1944 został zamordowany przez gestapo w Alei Szucha. Stary modrzewiowy dwór spłonął pod koniec wojny podpalony najpewniej przez ukrywających się w lesie Floria jeńców rosyjskich. Opowiada o tym Henryk Maziejuk w autobiograficznej książce *W czepku urodzony?* (s. 128-135). Obecnie w dawnym dworskim spichlerzu mieści się dyskoteka.



W 1925 roku na mocy ustawy o małej reformie rolnej przyznającej ziemię między innymi bezrolnym i małorolnym, inwalidom wojennym i robotnikom rolnym Andrzej Ceniuk, ojciec Bronisławy pobrał na hipoteczną spłatę przysługującą jemu i córkom Bronisławie i Paulinie ziemię z parcelowanego w Jagodnicy folwarku. Według przepisów służba folwarczna miała prawo przejmowania ziemi pod zastaw weksli Banku Rolnego, którego oddział dla Jagodnicy znajdował się w Sitniku. Włościanie zobowiązani byli do zapłaty gotówką. Ceniukowie skorzystali z szansy, otrzymali ziemię. Było tego około siedem hektarów. Bronisławie przypadła jej część oraz część przypadająca rodzicom, którym miała zapewnić dożywocie.

Po zaślubinach Bronisława (1907) i Franciszek (1899) Maziejukowie gospodarowali na pięciu morgach podzielonych na trzy poletka o szerokości około pięciu metrów i długości kilometra pod Terebelą, oddległych od siebie i oddległych od siedziska w Jagodnicy o blisko trzy kilometry oraz na ziemi wniesionej w wianie przez Bronisławę położonej w Jagodnicy, gdzie powstał ich dom i obejście. Wspólne gospodarstwo liczyło około osiem hektarów ziemi.

Jednak w wiejskiej społeczności pamięć o pracy na folwarku trwała długo i tych co wywiedli swój majątek ziemski z folwarku, nazywano pogardliwie dworusami. Z goryczą wspomina ten fakt Henryk Maziejuk, pisząc: „To tak, jakbyśmy byli ulepiani z innej gliny niż rodowici włościanie”.

Jagodnicki dom Maziejuków powstał od podstaw. Siedlisko było obszerniejsze niż w dawnej zabudowie, dom nie musiał stać szczytem do drogi, jak większość wiejskich chałup. Stał frontem do drogi, obok było miejsce na zabudowania gospodarcze i mały domek dla Pauliny, póki z mężem nie dorobiła się własnego, nieco dalej.

Pamięć dawnej folwarcznej przeszłości została weń wmurowana dosłownie i w przenośni. Nowa chata na własnej parceli powstawała z rozbieranego folwarcznego czworaka, który stał się bezużyteczny, ale przecież nic nie mogło się zmarnować. Wykorzystali zatem do budowy nowego domu bierwiona folwarcznego czworaka wraz z pamięcią losów swoich przodków. Ściany z bierwion układanych na węgiel bielone latem kornicką gliną z ultramaryną, zimą gacone leśną ściółką i obornikiem przykrywał dach z cementowej dachów-

ki. Wewnątrz znajdowała się świąteczna izba z drewnianą podłogą, duża kuchnia z okazałym, pełnym różnorakimi funkcjami piecem na glinianym klepisku, sień i za nią komora jako powszechne rozwiązanie w chłopskich domostwach Podlasia. Na strychu Franciszek Maziejuk hodował z paszą i miłością gołębie pocztowe, więc poddasze zastawione było klatkami. Niewielka dziura w polepie sieni przykryta klapą pełniła rolę piwniczki. Powszechnym zwyczajem zamieszkali razem - wielopokoleniowa rodzina, czyli rodzice Bronisławy, ona z mężem Franciszkiem i przychodzące na świat dzieci. W gospodarstwie potrzebna była każda para rąk, a jedna miska musiała wystarczyć dla wszystkich. Potrawy były proste, ale przyrządzane ze smakiem. Bronisława albo jej mama Zofia Ceniukowa stawiała na stole w dużej misie prażuchy albo pyzy nadziewane soczewicą czasem jajecznicę na mące i mleku. W codziennej diecie były kasze, mleko, kapusta kwaszona, grzyby świeże, kwaszone lub suszone. Ot co, dania były proste i smaczne.

Obok domu znajdowała się skromna stodoła i obora, a w niej koń, dwie krowy, kilka świń, owiec i kur, gęsi. Chłopskie gospodarstwo było w zasadzie samowystarczalne. Nikt nie kupował chleba, mleka, mięsa, warzyw, owoców. Jajka, masło, śmietanę gospodynie niosły do miasta na targ, by za zdobyty grosz kupić sól, naftę i to co niezbędne. W chłopskich rodzinach takie zasady obowiązywały jeszcze długie lata dwudziestego stulecia. Jan Maziejuk zapamiętał z dzieciństwa obowiązek wędrowniki do miasta z jajami w czasie choroby matki.

- Mama bardzo chorowała. Antek pracował w polu lub gospodarstwie, Henryk mu pomagał, a ja raz w tygodniu maszerowałem do Białej Podlaskiej na targ. W koszu wypełnionym sieczką niosłem kopę jaj. Musiałem iść ostrożnie, by żadnego nie stłuc. Na targu sprzedawałem, starając się o dobrą cenę. Za zarobione pieniądze kupowałem, co było najpotrzebniejsze, najczęściej z myślą o mamie - wspomina dzieciństwo Jan Maziejuk.

Gospodynie przędły i tkły na krosnach, wytwarzając tkaniny lniane i wełniane, płótna, ręczniki, samodziały. Każda wiejska kobieta od dziecka zasiadała przy kołowrotku i krosnach. Tylko jakość nitki wywiedzionej z przędzy świadczyła o zręczności rąk, a kunszt tkackiego spłotu o zmysł artystyczny. Bronisława Maziejukowa umiejętności tych uczyła się zwykłą kolejną rzecz w domu od matki i uważała je za naturalne i konieczne. Domowe poduszki i pierzyny były oznaką zamożności, a ich powleczenie i piętrowe ułożenie świadczyły o dobrym smaku gospodyni. Powszechnie w wiejskich gospodarstwach tłoczono olej lniany i makowy. Olejarnie były w zasadzie w każdej wsi, najczęściej prowadzone przez Żydów, rzadziej drev-

niana prasa do tłoczenia oleju była w gospodarstwie. Wyselekcjonowane nasiona lnu wysypywano powoli do podgrzewanej prasy napędzanej ręcznie kołem zamachowym. Najpierw kołem kręciło dziecko lub kobieta, później, kiedy makuch trzeba było dobrze wycisnąć, przy kole siadał krzepki mężczyzna. Olej spływał do rynny. Był podstawowym tłuszczem, pachnącym i smacznym. Kraszono nim kasze, kluski lub używano do smażenia. Wyciśnięte w prasie odpady nazywane makuchami wyjmowano po wytłoczeniu oleju. Makuchy były cenną paszą przy odchowie cieląt lub prosiąt.

Domowym sposobem w stępie lub w okolicznych młynach wiatrowych wyrabiano pożywne kasze: gryczaną, jęczmienną i jaglaną z prosa. Uprażone były same w sobie wystarczającym daniem. Spożywano je ze skwarkami, olejem lub mlekiem. Z Jagodnicy przy odpowiednim wietrze wdać było obracające się skrzydła koźlaka pana Denisiuka, młynarza z Witulina. Koźlak był najstarszym typem wiatraka europejskiego. Na koźle obracał się cały korpus, tak by śmigła mogły uchwycić wiatr.

Każda praca, każde zajęcie odbywało się według obrządku i było okazją do spotkań towarzyskich i kulturalnych. Darcie pierza w zimowe wieczory, przędzenie

*Będę patrzeć
jak oczyszcza len żelazna szczotka.
Potem siądę,
gdy prząść będzie, obok kołowrotka.
Przyjdzie do nas prządek kilka
i nie będzie smutno.
Będą śpiewać,
prząść niteczki na to białe płótno.*

W ogrodzie Bronisława Maziejukowa uprawiała proso i soczewicę, len, mak, buraki i kapustę na potrzeby rodziny. Przed domem sadziła kwiaty, by cieszyły oczy i duszę.

Czas żniw przez wieki był najważniejszym okresem w chłopskim kalendarzu. Pracowały całe rodziny, sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie.

- Żaden kłos nie mógł się zmarnować. Zboże koszone kosą, za kosiarzem szła kobieta podbierająca pokos, często pomagając sobie sierpem. Wiązała snopy, później ustawiano je w kopy, po dziesięć snopów. Po kilku dniach, gdy zboże przeszło, zwożono snopy do stodoły. Na koniec żniw zostawiało się garść dorodnego żyta na brzegu pola, najlepiej przy gościńcu. Związano kłosy barwną krajką, wplatając w środek kwiaty. Był to dożynek, zwany także na Podlasiu i Mazowszu przepiórką, na wschodnich kresach perepełką, a w Małopolsce kozą bądź brodą. Był też na Podlasiu



Fot. J. Maziejuk

na kołowrotku organizowano w chłopskich chałupach z radością. Była to okazja do rozmów, śpiewania, opowieści, wspomnień. Spotykali się młodzież i starsi, przekazując umiejętności, opowieści, pieśni. Jednak ponad pół wieku temu bezpowrotnie zniknęły z podlaskiego pejzażu białe się na majowej trawie długie wstęgi lnianego płótna czy porozwieszane na płotach motki przędzy, zastąpione współcześnie przez gotowy materiał fabryczny. Z rejonu Podlasia pochodzi dziecięcy wierszyk opisujący dawne zwyczaje:

*Międli matuś len w komorze
aż paździora lecał.
Pójdę, stanę przy międlicy,
pomogę co nieco.*

zwyczaj chwywania znienacka gospodarza za nogi i przeciągania dookoła przepiórki. Zdarzyło się, że przeciągnięto gospodynię. Kiedy podwinęła się spódnica, najadła się wstydu, bo dla wygody pracowała w polu bez majtek. Na koniec żniw gospodarz zapraszał robotników na poczęstunek i nie żałował okowity. W czasie podorywki przepiórkę okalano, pozostawiając kłosa jako dar dla ptaków i myszy, a przepiórka miała zapewnić ciągłość plonów. Oj, kto dziś pamięta te piękne zwyczaje jednoczące ludzi w pracy i zabawie. Współczesne dożynki mają zupełnie inny charakter. Przede wszystkim brak im spontaniczności, wybierają w najlepszym wypadku postać rekonstrukcji etnograficznej.

Powszechnym zajęciem wśród mieszkańców Jagodnicy, Terebeli i innych wsi było kopanie torfu. Jak wiele innych zajęć wiejskich miało charakter ceremoniału, a dla młodych było atrakcyjną formą spotkania i rywalizacji. Maziejukowie, podobnie jak inni gospodarze, mieli na terebelskim torfowisku swoją działkę.

W XIX i XX wieku wydobywano torf na Podlasiu jak w innych miejscach w Polsce, na przykład na Pobrzeżu Słowińskim,

Mazowszu Płockim czy nadnoteckiej Krajinie. Rozpocząło się na ogół wiosną, po zakończeniu pierwszych prac polowych i w nadziei na przygotowanie opału wysuszonego wiosennym wiatrem i słońcem. Do pracy wychodziły całe rodziny. Nie była specjalnie ciężka, choć w miarę pogłębiania się wykopu zwiększało się niebezpieczeństwo związane z podsiąkaniem wody. Antek, Henryk i kilkuletni wówczas Jan Maziejukowie najpierw z rodzicami, a po śmierci

ojca sami lub tylko z matką zabierali się do pracy. Najpierw trzeba było zdjąć darń, później sztychem, czyli łopatą o długim trzonku kroić ścianę torfu, w końcu siekaczem, czyli narzędziem o ostrzu wygiętym pod kątem prostym wycinać kostki. Układali je w „koziółki”, susząc w ten sposób kostki na słońcu. Wysuszony torf układali w pryzmy, zabezpieczając przed przemoczeniem, bo nie zawsze w porę udawało się go zwieźć do szopy. Czasem koń grzązł w bagnie,

WObjeździe, w środku wsi na wzgórku stoi malowniczy szachulcowy kościółek zbudowany w 1606 roku, a następnie rozbudowany w XVIII wieku. Pierwotną jednonawową bryłę zamyka dwuspadowy dach kryty karpiówką. Od strony północno-zachodniej dach wykończono ośmioboczną drewnianą wieżą (łartanią) pokrytą cebulastym dachem z blachy.

Na szczycie widnieje barokowa chorągiewka z kutego żelaza, prostokątna z wywiniętym dolnym wąsem i wyciętym napisem „Anno 1606”. Przez lata wieża kościoła stanowiła ważny punkt nawigacyjny dla rybaków, ponieważ widoczna jest z morza i jeziora Gardno. W 1617 roku właścicielem Objazdy był Antonius von Natzmer, chociaż wzmianki o związkach Natzmerów z Objazdą pojawiają się na początku XVII wieku. Prawdopodobnie był fundatorem ołtarza i ambony. W XVIII wieku kościół wyposażono w elementy w stylu barokowo-ludowym, takie jak blisko dwumetrowej długości ławy z malowanego drewna w oddzielnym zamykanym ozdobnym segmencie tuż przy ołtarzu. Z tego miejsca w liturgii uczestniczyli właściciele majątku mieszkający w pałacu sąsiadującym z kościołem. Po 1945 roku siadali w nich: miejscowy młynarz z rodziną, naczelnik poczty i inni z wiejskiej elity. Ławeczki dla jaśnie państwa przepadły, nie wiadomo gdzie. Natomiast w jednym z kościołów w Łęborku znajduje się płyta nagrobna z 1629 roku z napisem: „Płyta nagrobna synów Antoniego Natzmera, starosty słupeckiego i sławieńskiego, obecnie starosty łęborskiego, dziedzica Gutzmin (Chocimino) i Wobesd (Objazda) zrodzeni z Nikolainy z Wejherów. Czterech synów: Nikolaus, (1614), Ernestus (1618) - obaj urodzeni w Gutzmin (Chocimino), Antoninus - urodzony w 1623 roku i Martinus urodzony w 1625 roku w Objeździe.”

Nawę boczną wyposażono w skromny, ale piękny instrument organowy z jednym manuałem, registrami pedałowymi i klinowym miechem jednoczęściowym. Do lat siedemdziesiątych XX wieku organy były w użyciu dzięki umiejętnościom i wytrwałości miejscowego muzyka, bibliotekarza i organisty, nieodżałowanego Romana Zuba. Uczestniczył w każdej mszy grając na organach, a pod chórem stawiali młodzieńcy gotowi do kalikowania. Poczy-

Małe jest piękne

Między Swołowem a Klukami w obszarze Krainy w Kratę kościół pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe jest jedynym zabytkiem sakralnym z czterystuletnią historią



a koła wozu zapadały się w trzęsawisku i trzeba było czekać odpowiedniej pory.

Na terenie powiatu białskiego istnieją udokumentowane złoża torfu w dawnych dolinach rzecznych i bezodpływowych zagłębieniach. Niestety, złoża Klukowszczyzna zostało wyeksploatowane. Torf kopano na dużą skalę jako najłatwiejszy do pozyskania opału do lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Później torfowiska zarosły. Obecnie spełniają funkcję obszarów retencyjnych

wód oraz naturalnych siedlisk rzadkich i chronionych roślin. W gminie Leśna Podlaska wzdłuż drogi powiatowej Ciciwór - Leśna Podlaska w 1967 roku utworzono blisko siedemdziesięciohektarowy rezerwat leśny obejmujący dobrze zachowane lasy łęgowe i grądowe z cennymi okazami grabów, dębów, lipy wąskolistnej. Przełinał czas kopania torfu. Przełinał czas wspólnych prac, naturalnego spoiwa wiejskich społeczności. O kopaniu torfu przeczytamy

w „Zmierzchu” Stefana Żeromskiego lub obejrzymy jako ciekawostkę etnograficzną na „czarnym weselu” w Klukach. Dla braci Maziejuków, z których Henryk zostanie znanym dziennikarzem (1935-2009), a Jan fotografikiem, kopanie torfu było wspólnym doświadczeniem chłopskich dzieci z Jagodnicy na Podlasiu.

Czesława Długoszek, Objazda

Na podstawie wspomnień Jana Maziejuka

e. Kościół w Objeździe

tywali sobie za zaszczyt takie uczestnictwo we mszy. Nie konserwowany i nie remontowany instrument niszczał. Od dawna organy milczą, a kalikanci nie są potrzebni w czasie mszy. W ewidencji zabytków wpisane zostały jako wyposażenie kościoła, ale bez określenia miejsca pochodzenia i warsztatu. Nie są objęte opieką konserwatorską. Ich dalszy los zależy od wrażliwości proboszcza i parafian. Tymczasem, milcząc stoją w kościele jak wyrzut sumienia i świadectwo braku troski. Zubożało wnętrze kościoła. Cynowe lichtarze z 1692 roku wymieniane w informatorach jako stanowiące wyposażenie kościoła zostały przeniesione do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Weszły w skład muzealnej kolekcji wyrobów cynowych. Inne obiekty wymieniane przez L. Böttgera w „Die Bau-u. Kunstdenkmäler... Kreis Stolp. Köslin Bll Stettin 1894”, jak dwa siedmiościenne posrebrzane kandelabry na wysokim tralkowym stojaku z czarno lakierowanego drewna czy przywiezione z okolic Siedlec barokowe lichtarze z XVIII wieku z literami L.S. oraz herbem o trójpolowej tarczy pod książęcą koroną przepadły przed 1973 rokiem. Wtedy w czasie przeprowadzonego spisu stwierdzono ich brak i odnotowano ten fakt w kartach ewidencyjnych zabytków. Tylko one i fotografie są dowodem, że istniały i zdobiły malarzki kościoła filialny należący wówczas do parafii Wytowno. Znak czasów, kiedy do zabytków sztuki sakralnej w małych miejscowościach podchodzono bez należytej pieczołowitości, pozostawiając troskę o nie przypadkowym osobom. Zapewne działały w dobrej wierze. Ktoś przykrył szachulcowe ściany boazerią, a drewniane słupy podpierające strop pomalował olejną farbą. Wtedy zastąpiono drewniany trzymetrowej wysokości barokowo-ludowy ołtarz z XIX wieku innym, zrobionym przez miejscowego stolarza.

Zabytkiem jest dzwon z 1655 roku oraz barokowo-ludowa empora z malowanego drewna nad wejściem, tworząca kruchę. Było to miejsce dla chóru muzycznego, jak wskazuje karta zabytku. Po reno-

wacji starto farbę, pozostawiając zagruntowane drewno.

Przed wojną w Objeździe odprawiano nabożeństwa w porządku ewangelickim. Pierwszym powojennym proboszczem był ks. Jan Zieja, który objął parafię w Wytownie we wrześniu 1946 roku. W książce „Życie Ewangelii” ks. Jan Zieja wspomina: „Prosiłem wtedy biskupa, aby mnie mianował proboszczem nadmorskiej części mojej dawnej parafii, gdzie była wieś Wytowno, a w niej kościółek katolicki. Do niego należał kościółek w Objeździe i jeszcze trzeci w Rowach nad samym morzem. Będziemy wszystkie trzy obsługiwać i zarazem mieć Uniwersytet Ludowy w Orzechowie Morskim pod ręką. Biskup się zgodził i mnie do Wytowna posłał.”

Do dziś mieszkańcy wsi wspominają epizod z działalności ks. Ziei. Miał się odbyć ślub dwojga młodych przybyłych na ziemię odzyskane z nadzieją na nowy lepszy los. Był to pierwszy powojenny ślub w tym kościele. Pan młody - sybirak, żołnierz obozu w Sielcach i panna młoda spod Łomży przybyli do Objazdy z grupą młodzieży i tu postanowili się pobrać. Ślubu miał udzielić ks. Zieja. Przyjaciele chcieli uhonorować młodych. Rozwinęli czerwony dywan, po którym młodzi mieli wejść do kościoła. Kiedy ks. Zieja zobaczył wystrój, poprosił o zwinięcie dywanu. - Wszyscy jesteśmy równi wobec Boga - tłumaczył swoją decyzję. - Nie wszystkim mogę okazać tyle honorów, więc i w tym wypadku nie mogę się zgodzić na taki luksus - dodał. Ślub odbył się, a małżonkowie dożyli w Objeździe sędziwego wieku, ciesząc się dziećmi i wnukami. Oboje po latach spoczęli na miejscowym cmentarzu.

Początkowo jednak, w roku 1945, tuż po zakończeniu działań wojennych, ks. Zieja, który przybył na ziemię słupską w maju 1945 roku, przemierzał na rowerze cały powiat, docierając także do Rowów. „W Rowach nad samym morzem, był kościół, do którego jeździłem. Proszę Pana, to była wieś uważana przez dawny rząd niemiecki za idealnie słowiańską, wszystkie domy zbudowane w historycznym stylu zacho-

wały się dobrze(...)”, opowiada w wywiadzie dla Jacka Moskwy. Proboszczował w Wytownie krótko, od kwietnia 1946 roku do 1948 roku, ale zyskał sympatię i wdzięczną pamięć parafian.

Przez lata na nauki przedkomunijne dzieci chodziły do kościoła w Wytownie. Tam też odbywały się ważniejsze parafialne uroczystości: Pierwsza Komunia Św., uroczystości Bożego Ciała, na które furmanami, pieszo, rowerami zjeżdżali się wierni ze wszystkich wsi. Procesja szła przez wieś i pola wokół, była ważnym wydarzeniem nie tylko religijnym, ale i towarzyskim. Była okazją do spotkań, rozmów, obejrzenia dokonanych sąsiadów. Parafia należała do diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej i obejmowała cztery filialne kościoły: w Machowinie, Wytownie, Objeździe i Rowach.

W lutym 1989 roku dokonano podziału parafii: kościoły w Objeździe i Rowach weszły w skład parafii w Objeździe z przynależnością do dekanatu główczyckiego i diecezji pelplińskiej. Dlaczego podzielono dawną parafię, pozostawiając Machowino i Wytowno w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, a Objazdę i Rowy włączając do diecezji pelplińskiej, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że ustały religijne więzi, nie ma spotkań z okazji ważnych świąt kościelnych.

Wiosną 2006 roku rozpoczęto z inicjatywy ks. Stanisława Fortuńskiego remont kościoła. Prace wykonywał rekomendowany przez proboszcza fachowiec z okolicy. Był on i dwóch pomocników. Opatrzność czuwała nad kościołem, bo ani razu nie spadł deszcz, a upały dokuczali robotnikom, którzy zaczynali prace wcześniej rano, odpoczywali w porze południowej i znów pracowali pod wieczór. Prace nadzorowane przez konserwatora zabytków postępowały bardzo wolno. Dopiero kiedy zaniepokojeni mieszkańcy Objazdy włączyli się w prace remontowe, Pasterka 2006 roku mogła odbyć się w kościele. Przed Wielkanocą we wnętrzu kościoła pojawiły się nowe ławki. Latem 2007 roku wymieniono okna, a kopułę wieży pokryła miedziana blacha. Tę pracę wykonał bardzo spraw-

po czerwonym dywanie młodzi mieli wejść do kościoła

nie miejscowy rzemieślnik. Niestety, zakres prac przewidzianych przez konserwatora nie został wyczerpany. Dotyczy to między innymi prac tynkarskich, do czego zostały przygotowane szachulcowe pola. Bele wystają poza mur o grubość przewidzianego tynku i w czasie deszczu zbierają wodę.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku na przykościelnym cmentarzu znajdowały się grobowce i okazałe marmurowe krzyże. Nie ma po nich śladu, poza amatorskimi fotografiami. Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych cmentarz restaurowano, jeden z ocalałych krzyży żeliwnych ustawiono na kamiennym murze, który obecnie oddziela teren kościelny od cmentarnego. Urządzono tu małe lapidarium poświęcone rodzinie Kutscher - ostatnim przedwojennym właścicielom majątku. Ostatni zapis o pochówku pochodzi z 2004 roku.

O związkach właścicieli majątku z wiarą opowiadają pojawiające się tu i ówdzie historie. Kręte ścieżki wiary w rodzinie Kutscherów, którzy byli dziedzicami wsi od 1838 roku do 1945, urosły do rangi legendy.

Na początku XIX wieku w państwie pruskim, zatem także w prowincji pomorskiej wyznanie ewangelickie było w zasadzie powszechne. Jednak obowiązująca od połowy stulecia pruska konstytucja przyznawała innym wyznaniom, podobnie jak ewangelikom prawo do organizowania i posiadania własnych fundacji i funduszy na nauczanie i szerzenie kultu. Już od 1841 roku słupscy katolicy czynili starania o utworzenie własnej gminy wyznaniowej, jednak dwukrotnie spotkali się z odmową biskupów z Pelplina i Poznania. Dopiero w 1851 roku kapłan misyjny Aleksander Pfeiffer, który między innymi działał w Słupsku, uzyskał postanowienie w dokumencie

erekcyjnym parafii misyjnej w Koszalinie, że parafia słupska należeć będzie do diecezji (sic!) wrocławskiej. Parafianie rozpoczęli starania o budowę kościoła parafialnego. W końcu dzięki dotacjom możliwym i pracowitości parafian ze Słupska i okolicznych wsi w latach 1872 - 1873 wybudowano kościół przy Blumenstrasse (dziś Partyzantów). Kościół otrzymał wezwanie św. Ottona, co było powszechnie zrozumiałe.

W 1900 roku spośród 769 katolików słupskich 36 było Polakami, w większości o nazwisku Marczak. W 1910 roku Objazda liczyła 771 mieszkańców, a w 1939 już 991. Marczakowie mieszkali także w Objeździe i w 1915 roku chrzcili w kościele św. Ottona syna Kazimierza. Objazda należała w tym czasie do czołówki z ilością 29 urodzeń w rodzinach katolickich.

Tymczasem właścicielem majątku w Objeździe w 1903 roku był 27-letni Erich

Jak Zygmunt Szendzielorz przejął do

Gdy partyzanci zaczęli domagać się swojej broni, wyjaśniono im, że polski oddział będzie wykonywał zadania na zapleczu. U niektórych żołnierzy

zrodziły się wówczas obawy, że Rosjanie planują „wykończyć” pozostałą część polskiego oddziału



Fot. Archiwum Autora

Po podstępnym rozbrojeniu przez Sowieców polskiego oddziału partyzanckiego dowodzonego przez por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica” i zamordowaniu go (zginęło wówczas z nim ponad 80. AK-owców), Rosjanie usiłowali podporządkować sobie pozostałe siły polskiego oddziału. W tym celu płk Markow - dowódca sowieckiej brygady partyzanckiej, z którą do niedawna współpracował „Kmicic”, przywiózł Polakom nowego przeło-

żonego. Był nim niejaki kapitan Wincenty Mroczkowski „Zapora”, który otrzymał od Sowieców zadanie stworzenia nowego oddziału, podporządkowanego sojusznikom.

Tak się złożyło, że Antoni Rymsza „Maks” znał „Zaporę”. Nie był on żadnym kapitanem, lecz zwykłym podoficerem (w stopniu plutonowego), którego w 1938 roku wydano ze służby za nadużywanie alkoholu.

Kutscher, nieuleczalnie chory ekscentryczny szlachcic. W nadziei na uzdrowienie sprowadził do wsi mistyka, Szwajcara Toberera, który otumanił mieszkańców wsi tak, że przestali chodzić do kościoła. Ewangelicki pastor w karczmie opowiadał obrazowo o mękach piekielnych. Przerażeni wierni wrócili do kościoła, a oszusta przepędzono ze wsi. Dziedzic Kutscher zmarł w 1911 roku.

Pod koniec lat dwudziestych XX wieku w Objędzie pojawili się natomiast mormoni, członkowie amerykańskiej sekty, która kierowała się surowymi zasadami obyczajowymi, ale dopuszczała poligamię. W niemieckojęzycznej kronice Objazdy zapisano, że ruch mormoński w latach 1929-1945 za sprawą sprzyjającego sekcji pastora Kypke był imponujący. Tuż przed wybuchem II wojny światowej we wsi mieszkało 16 mormonów, których opiekunką stała się

arystokratka - Katharine Kutscher. To ona prawdopodobnie uratowała ich przed hitlerowskim obozem koncentracyjnym. Po wojnie wszyscy mormoni wyemigrowali do Salt Lake City w Stanach Zjednoczonych. Na przykościelnym cmentarzu zostały jedynie nagrobki przedwojennych protektorów, przedstawicieli rodu Kutscherów.

Przed kościołem po lewej stronie znajduje się wymagająca pilnie renowacji ława wotywna z zatartą już niemal inskrypcją umieszczoną na wysokim oparciu krytym półkolistym daszkiem z blachy. Nad inskrypcją umieszczono wizerunek św. Jerzego (jeździec z dzidą przebijający smoka). Po bokach, niżej wizerunki orła i gryfa. Powszechnie uznaje się, że jest to pomnik poświęcony pamięci poległych w I wojnie światowej żołnierzy pochodzących z Objazdy. Sprawę mogłoby wyjaśnić odczytanie inskrypcji. Nie przeprowadzono

dotychczas takich badań, a charakter pomnika określa się na zasadzie prawdopodobieństwa.

Po prawej, pod akacją stoi wysoki kamień w kształcie siedziska. Można na nim jeszcze częściowo odczytać wykute nazwiska. Komu i kto postawił ów obelisk? Jakie wydarzenie upamiętnia?

Na wzniesieniu obok głównego wejścia do kościoła znajduje się kamienna kapliczka z odkrytą wnęką na figurkę. Kamień był na tych terenach dostępnym materiałem budowlanym, więc chętnie i umiejętnie z niego korzystano.

W okresie wakacji zatrzymują się przy kościele turyści z aparatami fotograficznymi. Bramę łatwo otworzyć, więc zwiedzając cały przykościelny teren. Niestety, do wnętrza kościoła nie można zajrzeć.

Czesława Długoszek
Objazda

wodzenie oddziałem kmicicowskim

Przy pierwszym spotkaniu z „Zaporą” Rymsza obiecał mu jednak, iż faktu tego nie ujawni. Zobowiązał się nawet do posłuszeństwa przynależnego przełożonemu, co nie oznaczało jednak ślepego podporządkowania.

Antoni Rymsza „Maks” obserwował nieudolne wysiłki „Zapory” i czekał na decyzję z dowództwa Okręgu w Wilnie.

Tymczasem wobec polskich partyzantów powierzonych „Zaporze” Sowietci przyjęli postawę nieufną, narzucając we wszystkim swoje warunki. Już samo odebranie Polakom broni i przydzielenie w to miejsce rozkalibrowanych karabinów oraz ograniczenie amunicji do pięciu sztuk na osobę, dawało wiele do myślenia.

W momencie rozbrajania bazy „Kmicica”, nieznaczna część pododdziałów znajdowała się na zadaniach w terenie (wśród nich byli ludzie „Maksa”). Antoniego Ciukszą „Waligórę”, Henryka Polakiewicza „Łomota” i Józefa Szyjękę „Żuka” uratowało to, że kilka dni wcześniej, doznając ran w potyczce z patrolem niemieckim, ukryci zostali na punkcie sanitarnym poza Miałdolem.

Na terenie polskich baz nie było też „Żbika”. W Świątę Żołnierza wysłany został przez „Kmicica” pod Wilno, żeby przyprowadzić nowego dowódcę oddziału.

A może to zadecydowało o takim właśnie sposobie i czasie rozbrojenia przez Sowietów ich bazy? - zastanawiał się „Maks”. Komendant Okręgu „Wilk” zamierzał - po zaliczeniu przez „Kmicica” praktyki dowódczej w oddziale bojowym - powierzyć mu stanowisko w swoim sztabie.

Rymsza martwił się o „Żbika”. Mijał drugi tydzień, a jego nie było. „Maks” nie wiedział, czy w komendanturze Okręgu wiedzą, że Sowietci podstępnie aresztowali por. Burzyńskiego, a wraz z nim kilkudziesięciu najwartościowszych jego podkomendnych.

Jeśli w Wilnie nic nie wiedzą o naszym rozbrojeniu przez Sowietów - myślał Antoni Rymsza - kurier prowadzący nowego dowódcę, może znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie.

- Twoja sprawa co o tym myślisz, ale ja uważam - zwrócił się do „Zapory”, gdy zostali sam na sam - że od naszej komendy okręgu oderwać się nie możemy. Nasi ludzie powinni od nas dowiedzieć się, co zaszło w polskiej bazie nad jeziorem Narocz.

„Zaporze” nijak było przekonywać go, że nie ma racji i zgodził się na jego wyjście z bazy.

- Powiedz Sowietom, że wysłałem cię, żebyś pozbiierał wałęsających się w terenie naszych partyzantów i przyprowadził ich do bazy - wymyślił. - Ale ludzi ci nie dam. Musisz iść sam.

- Sam mam zbierać ludzi w terenie? Pomyśl, nie wierzę.

- Zgoda, możesz kogoś wziąć ze sobą. Uzgodnił z nim, że weźmie „Tarzana”. „Zapora” dał mu też ze swoich zapasów dobry, dziesięciopięciopalcowy sowiecki karabin.

Jeszcze tego samego dnia pieszo wyruszyli razem z „Tarzanem” w kierunku Niedroszli. Tam „Maks” zamierzał skontaktować się z miejscową organizacją i powiadomić ją, że baza „Kmicica” została podstępnie rozbrojona.

Po przebyciu około 50. kilometrów, gdy już zbliżali się do Niedroszli, wpakowali się jednak w niemiecką zasadzkę. Podczas ucieczki Niemców doszło do ich rozdzielenia. „Maks” ruszył w stronę niedostępnych bagien, gdzie przetrwał do końca oblawy, a rozdzielony z nim „Tarzanek” przesiedział całą noc w pokrzywach, a po odjeździe Niemców, nie znalazłszy swego dowódcy, postanowił wrócić z powrotem do bazy. Wracając, w połowie drogi, trafił na oddział „Zapory”, który podążał już w stronę Niedroszli.

Przez pierwsze dni po rozbrojeniu wszystkich dręczyła niepewność o jutro i obawy o własne życie. Sowietci nie pozwalali im nigdzie się oddalać, wokół bazy rozstawione były posterunki.

Już nazajutrz do bazy przywieziony został oficer polityczno-wychowawczy, który miał pomagać „Zaporze” w przekonaniu ich do słuszności polityki Moskwy wobec Polaków. Oficer nazywał się Marecki, z pochodzenia był Żydem. Mówiąc po polsku, zmiękczał i przeciągał sylaby, nie wymawiał litery r.

Mareckiego przywieziono na bazę razem z jego żoną Lusią. To w rozmowie z nią Rymsza dowiedział się, że Marecki przed wojną był nauczycielem, gdzieś pod Wilnem.

Mareckiemu kazano opowiadać, że były magnat ziemski Świątorzecki, pochodzący z rodu książęcego, przed wojną właściciel Jachimowszczyzny, został dowódcą powstałego przy partyzancie sowieckiej pod Mińskiem polskiego oddziału partyzanckiego. Żeby być bardziej wiarygodnym, wymienił nawet nazwisko rzekome-

go księdza, który został kapelanem oddziału.

Sowieci sądzili chyba, że znane wszystkim na Kresach nazwisko człowieka cieszącego się ogromnym autorytetem, wzbudzi zaufanie do ich polityki. Skoro zaufa im taki człowiek jak Świętorzecki, powinni również zaufać im ludzie, dla których był on przykładem.

Tak się złożyło, że Rymsza znał Świętorzeckiego. Przed wojną, jako porucznika 13.

ci poszli szturmem na niemiecki bunkier. Rymsza podejrzewał, że wielu z nich nie miało pojęcia, jak prowadzi się walkę, gdyż oddawanie z odległości kilometra strzałów do niemieckiego bunkra, nie było czymś przypadkowym.

Trudno zatem dziwić się, że zaalarmowani wcześniej Niemcy, wzmocnili ochronę i pod bunkrem położyli wielu partyzantów sowieckich. Podczas akcji spalono kościół i kilka budynków.



Fot. Archiwum Autora

pułku ułanów, spotykał go w Nowej Wilejce. Był on, tak jak i jego krewniacy, doskonałym myśliwym. Jego posiadłości słynęły na Kresach z doświadczeń łowieckich. Wiele pisało i mówiło się o tym.

Świętorzecki, po wejściu do Polski Sowietów, uciekł z całą rodziną, pozostawiając na Kresach cały dobytek. Nieco później został w Grójeckim administratorem majątku ziemskiego u Niemców. Swoją przynależnością związał się z Armią Krajową. Nigdy natomiast Rymsza nie słyszał o tym, żeby miał coś wspólnego z Sowietami.

Marecki nie posiadał umiejętności przekonywania i wypełniając funkcję powierzoną mu przez Sowietów, męczył się podobnie jak „Zapora”.

Kiedy Sowieci zorientowali się, że bezczynność destrukcyjnie wpływa na Polaków - kilka patroli, które wyszły z bazy, nie powróciło - podjęli decyzję, żeby przeprowadzić planowaną jeszcze wspólnie z „Kmicicem” akcję na niemiecki posterunek w Miadziole.

„Zapora” otrzymał zadanie przygotowania oddziału do walki. Gdy partyzanci zaczęli domagać się swojej broni, wyjaśniono im, że polski oddział będzie wykonywał zadania na zapleczu. U niektórych żołnierzy zrodziły się wówczas obawy, że Rosjanie planują „wykończyć” pozostałą część polskiego oddziału.

Podczas akcji powierzono im ochronę piekarni i zabranie masła z mleczarni. Przygotowana przez Żukowa - wysłannika Markowa - akcja, odbyła się w niezwykle bałaganie i chaosie. Nie przygotowani Sowie-

Uczestniczący w akcji Polacy, praktycznie byli bez broni, gdyż przydzielone im przez Sowietów karabiny do niczego się nie nadawały.

Kiedy został ranny „Hrabia”, „Maks” przywołał sanitariuszkę „Baśkę”, która opatrywała go ułożonego na furmance. Potem wioząc „Hrabiego” w stronę mleczarni, gdzie znajdował się ich oddział, Rymsza wyminął grupkę sowieckich partyzantów, którzy rabowali żywność mieszkańcom Miadzioła. Jeden z nich prowadził na posterunku świnię.

- Wrzucić tę świnię na furmankę i chodź tutaj - poganiał go drugi partyzant. - Podpalimy te domy.

- Pa czemu? - zdziwił się ten od wieprzka.

- Pa tomu, chto eto doma polskich patriotów - wyjaśnił mu współtowarzysz...

Gdy zaczął padać drobny deszcz, a straty pod bunkrem wciąż powiększały się, Żuków dał sygnał do odwrotu.

Dla Polaków była to pierwsza, a zarazem ostatnia akcja, przeprowadzona wspólnie z Sowietami. Nazajutrz rano razem z „Tarzanem” wyruszyli w stronę Niedroszli. Nieco później do bazy Markowa dotarły alarmujące wieści. Rzekomo z Dokszyca, w kierunku jeziora Narocz, wyruszyli własowcy. Fama niosła, że zamierzają rozbroić partyzantkę sowiecką. O tym, że w Dokszycach stacjonują własowcy, którymi dowodzi zastępca generała Własowa - Radionow, wiedzieli wszyscy.

Na wieść o tym, że własowcy idą na bazę sowiecką, wśród Sowietów doszło do

paniki. Zabierając ze sobą tylko broń, Sowieci wszystko porzucili i ruszyli do ucieczki. Polakom przestali gończy wiadomość, że wyruszają na Wschód i polski oddział ma udać się za nimi.

„Zapora” po opuszczeniu bazy, musiał stawić czoła partyzantom, którzy nie chcieli zgodzić się, żeby uciekać z Sowietami. „Zaporę” otoczyła grupa uzbrojonych partyzantów, którzy zdecydowanie oświadczyli mu, że nie pójdą za Sowietami i udają się w kierunku Niedroszli, gdzie - w oparciu o pomoc miejscowej organizacji - zbierał się oddział pokmicicowski. „Zapora” zdecydował się wówczas pójść razem z nimi. W obawie przed spotkaniem z Niemcami, oddział przedzierał się lasami, zachowując wszelką ostrożność.

Wieść o własowcach była nieprawdziwa, bowiem ich oddział zbuntował się i dołączył do Sowietów.

Do Niedroszli Antoni Rymsza dotarł przed „Łupaszka”. Był to przypadek, gdyż prowadzący grupę „Żbik” ominął Niedroszle, kierując się prosto na bazę nad jeziorem Narocz. „Żbik” - jak się okazało - nic nie wiedział o jej rozbrojeniu przez Sowietów.

Przedzierając się lasami, Polacy natknęli się na oddział sowiecki. Sowieci zorientowali się, że mają do czynienia z polskimi partyzantami, zażądali od nich oddania broni. Kiedy „Żbik” próbował z nimi pertraktować, partyzanci sowieccy otworzyli ogień. Na szczęście „Łupaszka” był ostrożny i nie pozwolił towarzyszącym mu ludziom, podchodzić do nich zbyt blisko. W momencie otwarcia ognia, Polacy ukryli się za drzewami i ostrzeliwując się, wycofali w głąb lasu.

Zajście to nie spodobało się „Łupaszce” i postanowił zawrócić do ominiętej miejscowości, by zasięgnąć języka u ludzi z miejscowej organizacji. „Łupaszka” wiedział, że tam w Niedroszli znajduje się punkt kontaktowy siatki. Idąc do bazy, miał przy sobie swojego adiutanta Longina Wojciechowskiego „Ronina”, swego szwagra Edwarda Swolkienia „Szaskę” i „Niecziuka”.

Gdy „Łupaszka” zjawił się na punkcie, miejscowi ludzie z siatki wiedzieli już, że Rymsza jest w Niedroszli i wiedzieli też, co wydarzyło się na bazie „Kmicica”. Przekazane mu informacje „Łupaszka” chciał od „Maksa” usłyszeć osobiście. Wysłany po niego goniec („Maks” odpoczywał u Lubieńskich) przekazał mu polecenie, żeby stawił się na spotkanie nad rzeczką, w miejscu gdzie stoi drewniany mostek.

Rymsza zdziwił się tylko, że polecono przybyć mu bez broni.

Podczas spotkania, na które „Maks” się udał, „Łupaszka” miał zobaczyć po raz pierwszy. Nie znał ani jego, ani jego ludzi. Gdy podszedł do rzeczki, na mostku stało już sześciu mężczyzn. Spośród ludzi „Łupaszki” znał tylko „Ronina”. Ale co to? W grupie mężczyzn, oprócz „Żbika”, był jesz-

cze „Jerzy Ostróg”. Spotkanie go razem z „Łupaszka” ogromnie go zaskoczyło. Przecież „Ostróg” był wśród aresztowanych na bazie polskich partyzantów? Jakim więc cudem się wywinął i dlaczego nikt z nich nie wiedział o tym?

Czy to czasem nie był jego pomysł, żeby „Maks” przyszedł bez broni?

- Dzień dobry - ukłonił się „Maks”.

- Dzień dobry - odpowiedzieli zgodnie mężczyźni.

- To wy wszyscy jesteście z bronią, a mnie kazaliście przyjść bez? - Rymsza zapytał zdziwionym tonem.

Jeden z mężczyzn wystąpił lekko do przodu i badawczo spojrzał na „Ostroga”. Ten najwyraźniej zmieszał się.

- Jestem Zygmunt Szendzielarz, pseudonim „Łupaszka” - przedstawił się. Rymsza zwrócił uwagę, że był wysokim, przystojnym mężczyzną i miał pogodną, okrągłą twarz.

- To ja szedłem z obecnymi tutaj ludźmi do waszej bazy, żeby podmienić „Kmicica” - wyjaśnił. - Jestem zdziwiony, że kazano panu przyjść bez broni. Przepraszam za to.

Rymsza przenikliwym spojrzeniem ogarnął „Ostroga”.

wstrzymał go „Łupaszka”. Chwilę potem, zabierając ze sobą „Żbika”, podszedł do „Maksa” i odciągnął go na bok.

- Kim jest ten „Ostróg”?

- „Jerzy Ostróg”? Miałem z nim kilka spiecz z powodu jego kontaktów z Sowietami.

- A dlaczego pan mi nic o tym nie powiedział? - zwrócił się do „Żbika”.

- „Żbik” nie był w to wtajemniczony - wyjaśnił „Maks”.

- Pan wie, że on sam chciał po pana wyjść?

- I dlatego kazał mi przyjść bez broni?

- To nie wszystko - powiedział „Łupaszka”. - To on doradził, żebyśmy omijając Niedroszle, poszli prosto do bazy.

- A skąd w takim razie on się wziął przy was? - próbował wyjaśnić Rymsza.

- Spotkaliśmy go przed Niedroszłą, „Żbik” go poznał. „Ostróg” twierdził, że był w Niedroszli i wraca do bazy.

- Rozumiem, prowadził was prosto w łapy Sowietom. I co pan teraz z nim zrobi? - zapytał „Maks”.

- Zobaczymy. Najpierw muszę z nim porozmawiać. Przepraszam za ten incydent, mogłem być ostrożniejszy.

- Nie ma o czym mówić. Panowie byli

- Tak, wiem o tym - westchnął „Łupaszka”. - Wie pan, że myśmy od dawna za Stanawiali się, czy te kontakty z Sowietami z ich strony są szczere? I co teraz pan myśli o tym wszystkim? Pan domyśla się, że rozmawiałem już z naszymi ludźmi. Wszyscy są przejęci tym, co zaszło. Sądzi pan, że „Kmicic” i wszyscy zabrani przez Sowietów partyzanci zginęli?

W tym czasie Rymsza nie znał jeszcze informacji o brutalnym zamordowaniu przez Sowietów porucznika Burzyńskiego i rozstrzelaniu pozostałych 84 polskich partyzantów, które dopiero później przekazał jego żonie - pani Burzyńskiej, Żyd Berka.

- Trudno mi powiedzieć, panie poruczniku Szendzielarz. Po Sowietach można spodziewać się najgorszego.

- A „Ostróg”? Muszę go przycisnąć. On naprawdę był wśród aresztowanych? Jeśli tak, powinien wiedzieć, co stało się z pozostałymi?..

Jak potem okazało się, „Ostróg” zaparł się wszystkiego, twierdził, że uciekł jeszcze przed dojściem grupy na sowiecką bazę i niczego nie widział.

- Pan wie, panie „Ostróg”, co grozi za zdradę? Składał pan przysięgę? - zwrócił się do niego porucznik Szendzielarz.

- Tak panie poruczniku, ale ja niczemu nie winien. Ja tylko bałem się. - tłumaczył się „Ostróg”.

- Nie będę rozpoczynał służby w nowym miejscu od wydawania wyroków - zwrócił się do niego „Łupaszka”. - Nigdy pana nie widziałem i nie chcę widzieć w żadnym polskim oddziale, rozumie pan?

- Ale dlaczego, panie komendancie? - „Ostróg” udawał zdziwionego.

- Proszę oddać mi broń. - „Łupaszka” ode-

brał mu pistolet. Antoni Rymsza nigdy więcej nie spotkał „Ostroga” na swoim terenie.

Podczas długiej rozmowy, jaką jeszcze tego samego dnia przeprowadził z nim nowy dowódca, „Maks” szczegółowo scharakteryzował sytuację na bazie i wyjaśnił mu, kto to jest „Zapora”. Nie wiedział jeszcze, że wraz z grupą ponad 30 partyzantów podąża właśnie w stronę Niedroszli.

- Gdybym poprosił pana o powrót do bazy i wyprowadzenie z niej resztki uczciwych Polaków? - zwrócił się do niego „Łupaszka”.

„Maks” zgodził się. Zanim jednak wybrał się w drogę, tuż przed świtem oddział „Zapory” przybył do Niedroszli. W oddziale był jego zagubiony „Tarzanek”. Byli też przyjaciele: „Kitek” i porucznik „Janusz”.

**Jan Stanisław Małewski
Naćmierz**



- A jakim cudem pan znalazł się tutaj, panie „Ostróg”? Przecież był pan wśród aresztowanych? - „Ostróg” spieszył się jeszcze bardziej i... zaczął kręcić.

- Ja? - rozejrzał się wokół, jakby pytanie nie dotyczyło jego. - Ja, ma się rozumieć... uciekłem.

- Skąd? - „Maks” był dociekliwy. Szendzielarz uważnie przyglądał się „Ostrogo- wi”, wszyscy mężczyźni stali w milczeniu.

- Ja? No tego... z bazy.

- I nie powiedział im pan, co stało się z bazą „Kmicica”? Wnioskuje - Rymsza zwrócił się do Szendzielarza - że skoro chcieliście ze mną rozmawiać, „Ostróg” nie zdał wam szczegółowej relacji?

Słyszając to, „Ostróg” usiłował wycofać się na bok.

- Niech się pan zatrzyma, musimy to wyjaśnić. Będę rozmawiał z panem - po-

w większym niebezpieczeństwie.

„Łupaszka” zmienił temat.

- A wie pan, że tutaj w Niedroszli ma pan świetną opinię? -- Bardzo tu pana sobie cenią, wie pan o tym, „Maks”?

- To są moje rodzinne strony, panie... - przepraszam, nie znam jeszcze pańskiego stopnia. Ja jestem podporucznikiem rezerwy - wyjaśnił Rymsza, zawieszając wypowiedź.

- A ja porucznikiem zawodowym - przedstawił się „Łupaszka”. - Myśli pan, że wystarczy stąd pochodzić, żeby cieszyć się zaufaniem?

- No, niezupełnie - zaśmiał się Antoni.

- Ja znam tutaj wszystkich i wszystko, przecież... przed powstaniem bazy, zbierałem broń dla „Kmicica”. Szanowałem go, był nie tylko moim dowódcą, lecz także przyjacielem.

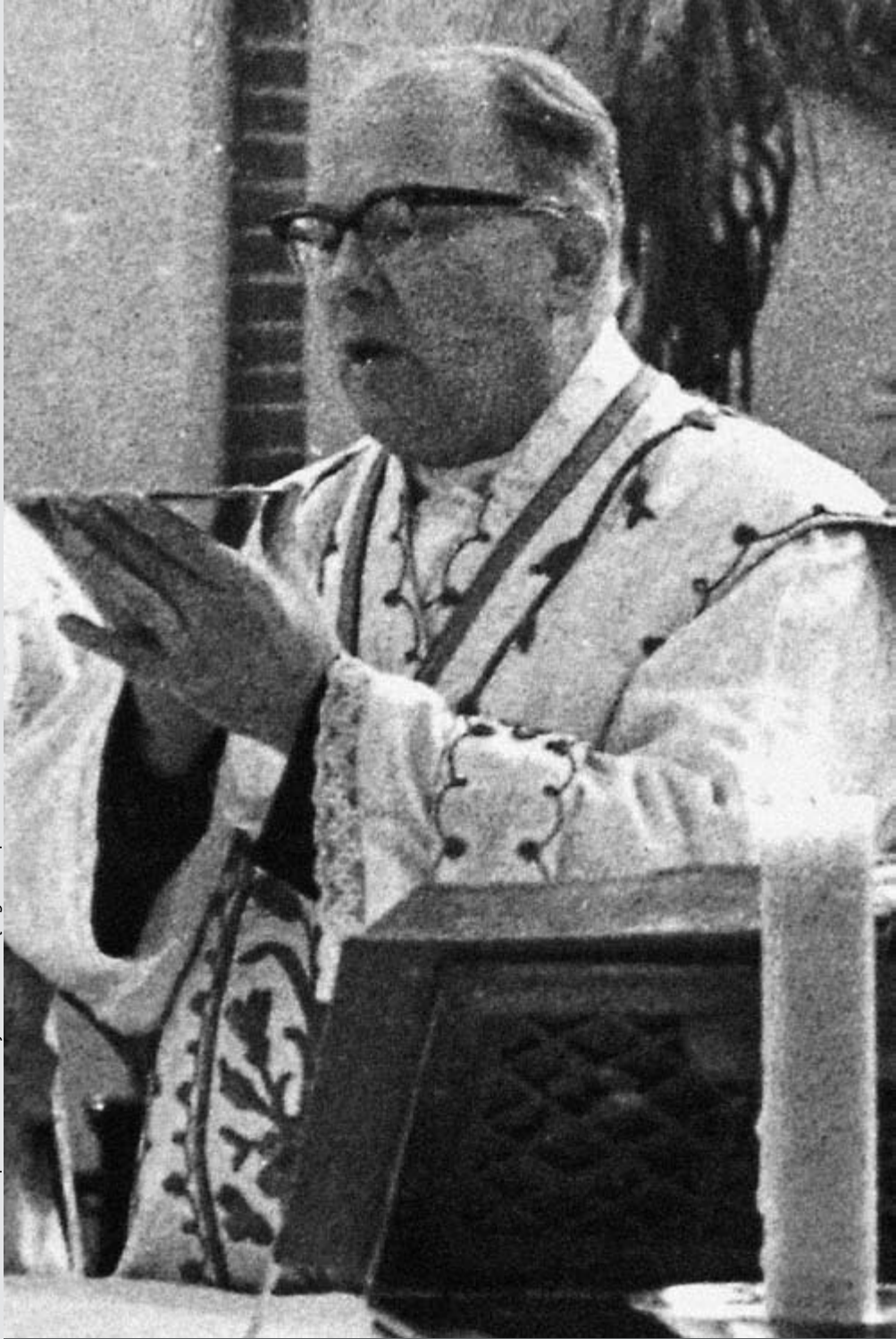
Lata młodości i seminaryjne

Ksiądz Witold Szymczukiewicz urodził się 24 czerwca 1910 roku w Gątczynie koło Petersburga. W 1918 rodzina Szymczukiewiczów wyprowadziła się stamtąd i zamieszkała w Białymstoku, gdzie Witold był ministrantem w kościele pod wezwaniem św. Rocha. Po maturze odbył służbę wojskową w Zambrowie. Po skończeniu Gimnazjum Biskupiego w Drohiczynie, ze stopniem podchorążego, we wrześniu 1933 roku wstąpił do Seminarium Duchownego w Wilnie. Miał dwóch braci, z których jeden - Lucjan został kapłanem w Towarzystwie Jezusowym. Studia seminaryjne, które Witold odbywał w Wilnie, połączone były wówczas z Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Kleryk W. Szymczukiewicz należał do alumnów zdolnych, sumiennie wykonywał codzienne obowiązki i dodatkowo angażował się do pracy w bibliotece seminaryjnej. Ponadto usilnie starał się, by poskromić i pohamować wrodzony - żywy i gorący temperament. Studia uwieńczył zdobyciem stopnia magistra teologii na podstawie pracy na temat „Sposobów poznania istnienia Boga według św. Bonawentury”, napisanej pod kierunkiem ks. dr. Władysława Suszyńskiego. Świeceń prezbiteratu udzielił mu 18 czerwca 1939 roku w katedrze wileńskiej arcybiskup Romuald Jałbrzykowski.

Pierwsze lata kapłaństwa

Pierwszą placówką duszpasterską, do której został skierowany młody neoprezbiter była Kalwaria Wileńska, a w czasie okupacji niemieckiej był wikariuszem w Rukojniach, koło Miednik, blisko Wilna. Tam zastał go również wybuch II wojny światowej. Już na początku działań wojennych na terenie Litwy znalazł się w grupie czterech pierwszych polskich księży, których odizolowano w miejscu internowania, w przygotowanym specjalnie dla aktywnie działających na rzecz Polski duchownych narodowości polskiej, w opuszczonym klasztorze w Liszkowie koło Druskiennik. Po roku jednak obóz przestał istnieć, Litwę bowiem zajęli Rosjanie, potem Niemcy, a po nich znowu powrócili Rosjanie. Ks. Szymczukiewicz należał do grona tych księży katolickich, którzy mimo grożących restrykcji ze strony hitlerowskich okupantów w okresie holokaustu - nie wyłączając utraty własnego życia - czynnie angażowali się w akcję ratowania i przechowywania Żydów. W czasie eksterminacji Żydów, którym ks. Witold udzielał pomocy, zgłosiła się również do niego Fajga Reznik, była koleżanka z czasów nauki w gimnazjum w Drohiczynie. Jako mężatka - Cipora Barkai - prosiła o pomoc dla siebie i swego syna. Załatwił im fałszywe metryki i inne potrzebne dokumenty oraz umieścił ich u zaufanej parafianki Jadwigi Romanowskiej. Oboje ukrywani przeżyli czasy

Fot. Archiwum Parafii pw. NMP Królowej Różańca Świętego w Słupsku



Służył wiernym

Komisja Sprawiedliwych przy Instytucie Pamięci Ofiar i Bohaterów Yad Vashem nadała w 1965 roku księdzu Witoldowi Szymczukiewiczowi - wieloletniemu proboszczowi parafii Mariackiej w Słupsku tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata”

okupacji niemieckiej. W latach 1940 - 1945, oprócz pracy duszpasterskiej i pomocy Żydom ks. W. Szymczukiewicz pełnił również funkcję kapelana Armii Krajowej. Kiedy w lipcu 1943 roku Komenda Okręgu Wileńskiego AK powzięła decyzję o tworzeniu oddziałów partyzanckich, które z czasem zaczęły przyjmować nazwę brygad, stało się jasne, że w skład ich dowództwa będą wchodzić kapelani wojskowi. Ostatecznie w przededniu operacji „Ostra Brama” ks. por. Witold Szymczukiewicz („Mimoza”) wszedł w skład 3. Brygady Wileńskiej, którą dowodził por. Gracjan Fryg („Szczerebiec”).

Na Pomorzu

W 1946 roku, na skutek zaistniałych zmian polityczno-administracyjnych oraz przesunięcia granic państwa polskiego na wschód, analogicznie jak zdecydowana większość polskich księży z Kresów, w zaistniałych warunkach za zgodą księdza arcybiskupa R. Jałbrzykowskiego, ks. W. Szymczukiewicz opuścił Wileńszczyznę i wyjechał na ziemię odzyskane. Osiedlił w Kartuzach. Pracował tam jako rektor kościoła i kapelan szpitalny oraz prefekt szkolny w gimnazjum. Kaszubi polubili go, lecz kiedy z czasem nasiliła się w Polsce akcja antykościelna, za gorliwość został przez władze cywilne usunięty i przeniesiony na pobyt czasowy do Redy.

W 1950 roku zdecydował się na następną zmianę i podjął posługę duszpasterską w Ordynariacie Gorzowskim. W latach 1950 - 1960 piastował urząd proboszcza w parafii pod wezwaniem św. Marii Magdaleny w Ugoszczy - w dekanacie Bytów. Miał do obsługi trzy kościoły: parafialny pod wezwaniem św. Marii Magdaleny w Ugoszczy oraz filialne: pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Polski w Sominach i pod wezwaniem Świętej Trójcy w Studzienicach. Z duszpasterstwem parafialnym w Ugoszczy połączył pracę naukową i dojeżdżał do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie poszerzając temat swojej pracy magisterskiej o św. Bonawenturze, uzyskał tytuł doktora teologii. Następną placówką duszpasterską, którą powierzyła mu do obsługi jako proboszczowi w latach 1960 - 1964 kuria gorzowska, była parafia w Wałcu.

W parafii Mariackiej

Pod datą 27 czerwca 1964 roku siostry Klaryski ze Słupska w kronice klasztornej odnotowały, że „miejsce ks. prałata Chmielewskiego zajął ks. dr Szymczukiewicz z Wałcza”. Istotnie dekretem biskupa Wilhelma Pluty z 20 lutego 1964 roku został on mianowany administratorem Parafii Najświętszej Marii Panny Królowej Różańca Świętego w Słupsku. W myśl tego dekretu 27 lutego 1964 roku, w obecności delegata kurii gorzowskiej - księdza prałata Mieczysława Marszałika, zostało przez księdza Szymczukiewicza przejęte

w formie protokołu zdawczo-odbiorczego mienie kościelne i beneficjalne. W niedzielę 8 marca po uroczystej sumie i po kazaniu wygłoszonym przez księdza dziekana Jana Stanka SDB z parafii Świętej Rodziny i Świętego Judy Tadeusza w Słupsku, nowego proboszcza parafii Mariackiej powitały najpierw dzieci, a następnie młodzież i starsi.

W okresie administrowania przez księdza W. Szymczukiewicza parafią NMP Królowej Różańca Świętego w Słupsku dobiegała końca Wielka Nowenna przed Tyśiącleciem Chrztu Polski, a po niej nastąpiły uroczystości milenijne, odbywał się Sobór Watykański II, papież Paweł VI bullą Episcoporum Poloniae coetus 26 czerwca 1972 roku ustanowił Diecezję Koszalińsko-Kołobrzeską, obchodzono również 950-lecie biskupstwa w Kołobrzegu.

W kościele Mariackim, jako centralnej świątyni Słupska, skupiało się całe życie religijne miasta. W pracy duszpasterskiej księdza W. Szymczukiewicza wspierało najczęściej czterech wikariuszy oraz kilka sióstr Kanoniczek Ducha Świętego. Kierując parafią, dużą wagę przywiązywał do oddziaływania religijnego na młode małżeństwa. Służyły temu cykle specjalnych nauk, które obejmowały przede wszystkim problematykę życia religijnego i małżeńskiego. Na terenie parafii prowadzono poradnictwo rodzinne. W ramach cyklicznych spotkań omawiano problemy rodzinne, ponadto prowadzono coroczny kurs przedmałżeński. Ważną rolę w formowaniu postaw katolickich odgrywały systematycznie odbywające się spotkania rodziców i dzieci uczęszczających na naukę religii. Tematyka tych spotkań dotyczyła nie tylko problemów pedagogicznych, ale w poważnej mierze obejmowała również sprawy ogólnoparafialne.

Poza sprawowaniem Eucharystii, odprawianiem nabożeństw, w okresie Bożego Narodzenia odbywały się koncerty kolęd. Ksiądz Szymczukiewicz zabiegał u władz miasta, by wierni mogli manifestować swoją wiarę uczestnicząc w organizowanych procesjach Bożego Ciała. Organizował pielgrzymki na Jasną Górę, natomiast mniej oficjalnie wyjeżdżał na Jasną Górę sam, by uczestniczyć w odbywających się tam zjazdach byłych duszpasterzy Polski Walczącej.

Po swoim poprzedniku, księdzu prałacie Karolu Chmielewskim kontynuował prace przy renowacji kościoła parafialnego. Rezultatem ich było wykonanie, według projektu artysty plastyka Wiktora Ostrzołka, i umieszczenie w oknach prezbiterium dziewięciu nowych witraży. W związku z ich montażem przeniesiono zabytkowy gotycki tryptyk przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa, Maryję i św. Jana Apostoła do lewej nawy bocznej, dzięki temu rzeźba ta została o wiele bardziej wyeksponowana. Ksiądz W. Szymczukiewicz zamówił

również dwanaście kolejnych witraży figuralnych, przedstawiających postacie świętych, które miały znaleźć się w miejscach dawnych ołtarzy w nawach bocznych. Wymieniał stare ławki w nawie głównej na nowe, jednolite, dostosowane do wnętrza zabytkowej świątyni oraz, w myśl przepisów soborowych, postarał się o nowy ołtarz. Remontował także dach kościoła.

Po ustawowym przywróceniu przez państwo Kościołowi na Ziemiach Północnych i Zachodnich kościołów, budynków kościelnych i zakonnych oraz przekazaniu na własność innych nieruchomości nie zgodził się na pozostawienie w użytkowaniu Sióstr Klarysek od Wieczystej Adoracji mieszkania dla kapelana po dawnej plebanii i obiektów po byłej szkole katolickiej przy ulicy Kościelnej 3 w Słupsku. Obiekt po szkole adaptował później na salki katechetyczne.

10 września 1968 roku witał w kościele parafialnym biskupa Wilhelma Plutę, który przybył do Słupska, aby wziąć udział w nabożeństwie dziękczynnym w parafii Mariackiej w związku z dziesiątą rocznicą rządów Diecezją Gorzowską. Tego samego dnia odbyła się w Słupsku konferencja rejonowa duchowieństwa z województwa koszalińskiego i wzięli w niej udział ówczesni biskupi pomocniczy z Gorzowa: bp Jerzy Stroba i bp Ignacy Jeż. Podobna uroczystość odbyła się w kościele Mariackim 24 czerwca 1973 roku, w pierwszą rocznicę ustanowienia Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Przewodniczył jej wówczas biskup Ignacy Jeż i brało w niej udział duchowieństwo z całej diecezji oraz wierni.

Ponadto księdzu W. Szymczukiewiczowi przypadł zaszczyt podejmowania i goszczenia w parafii kardynała Karola Wojtyły (późniejszego papieża i błogosławionego Jana Pawła II). Wizyta miała miejsce w dniach 16 - 18 sierpnia 1975 roku. Cztery lata później napisał on w kronice parafialnej „16 października. 1978. Wielka radość. Papieżem J. Em. Ks. Kardynał Karol Wojtyła - Polak. Trudno uwierzyć”. W ostatnim zapisie z 18 listopada 1979 roku, poinformował: „Ks. Proboszcz opuszcza parafię i udaje się na odpoczynek - emeryturę”. Z kolejnej adnotacji, poczynionej już ręką jego następcy dowiadujemy się, że „Dekretem Księdza Biskupa Ordynariusza Ignacego Jeża z dniem 19 listopada 1979 roku proboszczem parafii Najświętszej Maryi Panny Różańcowej w Słupsku został mianowany ks. Ryszard Król”.

Dziekan

Ordynariusz gorzowski biskup W. Pluta 15 stycznia 1963 roku ustanowił księdza W. Szymczukiewicza ponadto sędzią prosynodalnym Diecezji Gorzowskiej oraz, powierzając do administrowania parafię Mariacką, mianował go jednocześnie dziekanem dekanatu Słupsk - Zachód. Zasięg terytorialny i nazwy słupskich dekanatów

ulegały zmianom. Od czasu utworzenia Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej w Słupsku, podobnie jak wcześniej, ponownie istniał jeden dekanat i postanowieniem ordynariusza biskupa I. Jeża uznane zostały wcześniejsze nominacje dziekanów, w tym dziekana dekanatu Słupsk, którym był ksiądz dr W. Szymczukiewicz. Do dekanatu tego należało dziewięć parafii: Niepokalanego Poczęcia NMP w Bruszkowie Wielkim, MB Częstochowskiej w Duninowie, Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kobylnicy, Niepokalanego Poczęcia NMP w Kwakowie, Najświętszego Zbawiciela w Ustce oraz wszystkie parafie słupskie: Królowej Różańca Świętego, Świętego Ottona przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, Świętej Rodziny i Świętego Judy Tadeusza oraz od 1977 roku Świętego Maksymiliana Marii Kolbego.

Mieszkającą już w Izraelu uratowaną wraz z synem Cipora Barkai czynili starania o wpisanie ks. Szymczukiewicza na listę „Sprawiedliwych wśród narodów świata”. I Komisja Sprawiedliwych przy Instytucie Pamięci Ofiar i Bohaterów Yad Vashem postanowiła, na podstawie zebranych przez nią zeznań świadków, złożyć mu hołd za to, że z narażeniem życia ratował w czasie eksterminacji Żydów, nadając mu tytuł „Sprawiedliwy Izraela”. Państwo Izrael zaprosiło go do Ziemi Świętej. Po odbiór medalu udał się ze Słupska w listopadzie 1965 roku. Najprawdopodobniej na początku roku następnego w Jerozolimie, w Alei Sprawiedliwych dla upamiętnienia dobrych czynów zasadził swoje drzewko pamięci. Imię i nazwisko jego figuruje na internetowej stronie uhonorowanych tym zaszczytnym tytułem. W 1972 Stolica Apostolska odznaczyła go godnością kapelana Ojca Świętego.

Emerytura

Ze Słupska ksiądz W. Szymczukiewicz powrócił do Kartuz, gdzie nadal służył kapłańską pomocą miejscowym duszpasterzom. Utrzymywał również więź z Diecezją Białostocką, wspólnie z jej duchowieństwem uczestniczył w uroczystościach diecezjalnych, m.in. 400-leciu Seminarium Duchownego w Białymstoku, koronacjach obrazów Matki Boskiej w Różanymstoku i w Krypie oraz w rozpoczęciu peregrinacji obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Mońkach.

Zmarł 19 września 1987 roku na skutek wylewu krwi do mózgu. Przeżył siedemdziesiąt siedem lat, przez czterdzieści osiem jako kapłan. Przez piętnaście lat służył wiernym jako proboszcz parafii Mariackiej w Słupsku i dziekan słupski. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 22 września 1987 roku w Kartuzach. Na kartuskim cmentarzu znajduje się również jego grób.

Eugeniusz Wiżowski
Kobylnica

Tam, gdzie dzisiaj stoi dom Janiny był zagajnik z rozłożystym bzem, ofiarującym różne jego kolory. Gdzieś w połowie maja te naręcza pąków trafiały na stoły i układane były w wyszukane kompozycje w wazonach



Mój przyjaciel

Urodziłem się w 1954 roku, rok po śmierć Stalina, dwa lata przed śmiercią Bieruta. Był to okres wielkich przemian, kno- wań, mordów, okres który jednych zniszczył, zmiotł z powierzchni ziemi, drugich zahartował, uodpornił na wiatry wiejące po Europie. Byłem maleńką częstką wyżu demograficznego, przyszłością podnoszącą się z ruin zniszczonego kraju. Pisać lub nie, jakie to teraz ma znaczenie, gdy z życia odeszli główni aktorzy marnej komunistycznej burleski, którą karmiono nas przez ubiegłe lata, lecz słowa same wlatują przez otwarte okno poganiane letnim wiatrem i układają się na kartce papieru. Słupsk jawił mi się jako ostoja, przystań, do której znużona ręka matki latarnią oświeślała drogę. Nieodwracalnie w mojej pamięci to ważne miejsce. Stoi tu dumny dom, gmaszysko, centrum wszechświata, kilka ścian, ścianek działowych, przegródek, schodów, podłóg, tęsknota wyzierająca z murów utopiona w nostalgii. Nierozpoznawalny świetnością już dzisiaj, ale jednak w jakiś bliżej nieokreślony sposób świadomy jestem jego istnienia. Mówią mi, po co to robisz? I tak nie cofniesz wspomnień? Uporczywie tkwiący w resztkach tego, co mógłbym pamiętać lub to, co mi przekazano, to jedyny ocalały strzep mojej wiary w absolut dzieciństwa, w świat którego już nie ma, albo gdzie się

zatracił w galimatiasie pamięci, w niedopowiedzeniach i antagonizmach.

Dziś w mojej ocenie, jakby był mniejszym, przysiadłbym. Wtedy, ginący w rozwoju miasta, był poniemiecką willą, którą dziadek przejął wraz z usankcjonowaniem się polskiej władzy. Teraz przysiadł, zupełnie podobnie jak stary człowiek, co miarowo szura nogami, pokasłuje, kuli się w sobie i marnieje. I on teraz straszy brzydotą pomarszczoną elewacji i kontuzją odpadającego tynku. Domy niezaprzeczalnie związane są z losami ludzi i gdy teraz przyglądam się, to widzę dziadka Stanisława Lipca ubranego w zieloną, pasiastą pidżamę przechadzającego się w małym pokoju na piętrze, gdzie gruzlica z postawnego i przystojnego mężczyzny stworzyła sylwetkę szkieletu. Ten dom z lat mojej młodości był przepiękną postmodernistyczną bryłą, z solidnością jakiej nie znam. Dumnie przeżył elewację, stojąc w rzędzie kilkunastu sobie podobnych domów odziedziczonej powojennej infrastruktury.

Dopełniając treści poprowadzę czytelnika po perskim dywanie traw mojego ogrodu, aby unurzać się w jego zieloności, soczystości, wirować wzrokiem po niezapomnianych wyglądem ścianach, krążyć w zaułkach i krużgankach nieruchomości postniemieckiego realizmu, aby wplątać

się w gęstość żywopłotu przed domem i wyfrunąć spłoszonym wróbelkiem, który w tej gęstwinie i płataninie gałęzi zbudował gniazdo. To on właśnie budził mnie co rano ćwierkoleniem, estakadą modulacji, gdy tylko pierwsze promienie słońca ogrzewały zwartą zieloną formację.

Na pierwszy plan wysuwa się fasada budynku, chyba wtedy jeszcze w kolorze słonecznego beżu, z poprzerastaną hor-



Fot. J. Maziejuk

el dom

tensją i dzikim winem, który zawłaszczył tymczasowo elewację, tkając przedziwną pajęczynę odnóg niczym nieposkromionej sieci. Ganek budowlanym kunsztem zaprasza uchYLENIEM drzwi do chłodnego środka, do niewielkiego korytarza z zakrętasami schodów, z ciężkimi drzwiami wejściowymi, przed którymi przeżyliśmy młode muskuły. Nieśmiało przekraczamy Lipcowe podwoje, wraz ze skrzypnięciem bramy ukazuje się naszym oczom ogromny podwórzec, teraz skąpany w słońcu, tętniący życiem zwierząt i ludzi. Spoglądając na lewo od domu ujrzymy parterowy budynek - to stajnia i obora, skąd przybywało mleko na poranny posiłek, niczym statek Magellana ze śnieżnobiałymi żaglami w emaliowanym kadłubie w kwiatki, z nieodzownym - „mu, mu”. W głębi zarysowują się kontury dużej stodoły, do trzech czwartych wysokości murowanej i pobielonej. Jaskrawa biel świeżego wapna sympatycznie kontrastowała z czarnym smołowato podobnym mazidłem, jakim pokryte były deski, które zajmowały wyższe partie zabudowy, aż pod sam dach. W tym opisie złożoności po prawej stronie zobaczymy rozłożysty balon kłonu - panoszył się i nawet ogień nieopodał palącego się stogu siana, który na nogi postawił całą rodzinę, obszedł się z nim łagodnie. Tam, gdzie dzisiaj stoi dom Janiny,

był zagajnik z rozłożystym bzem, ofiarującym różne jego kolory. Gdzieś w połowie maja te naręcza paków trafiały na stoły i układane były w wyszukane kompozycje w wazonach. Gdzieś miej więcej w tej okolicy stała buda psa Morusa. Było to mądre psi-sko i gdzieżby tam szczekał. W upał wołał leżeć w cieniu i rozkoszować się przyjemnym chłodem. Był psem rasy bernardyn, często działo się tak, że podczas zabawy przysiadł swym cielskiem, to tego, to tamtego, ale nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Właściwie to nie zauważyłem, kiedy odszedł na pieskie niwy, był zawsze gdzieś obok, zawsze skory do obrony.

Za stodołą, bezkresem morza trawy i drzew królował ogród, ten niestrudzony przyjaciel zabaw w chowanego, w Indian, berka. O tej porze, a przyjmijmy, że jest to późna wiosna lub wczesne lato, skąpany był w soczystości zieleni tak oszołamiającej feerią przeróżnych barw, że rozlewający szczodrze paletę rembrandtowskich farb, śmiało mógłby służyć za tło jego obrazów. Ogród trwał w symbiozie z otaczającą go i ugruntowującą się komunistyczną rzeczywistością, tak jakby jego widok był zastrzeżony jakimś przywilejem tylko dla nas, jego posiadaczy - królewiczów autonomii Leszczyńskiego królestwa. Po lewej stronie znajdowało się kilka arów świeżo zaoranej ziemi, między które wprawna ręka dobrego gospodarza zasadziła odstępami rzędy śliw, brzoskwini i wiśni. Nieomal w centrum ogrodu rosła jabłoń - reneta. Nigdy potem nie wdziłem drzewa, które gięłoby konary pełne kolorowych jabłek niczym wierzbą płaczącą ku ziemi. I musiała być rzeczywiście sporych rozmiarów, skoro pod jej baldachimem odbywały się główne uroczystości rodzinne. Rozpoznaję czerśnię o rozłożystych konarach przypominającą drzewa z zaczarowanego lasu, gdzie nieopodal kiedyś stanął wigwam indiański i gdzie wiedzionym zmysłem wojownika przyłapanemu członkowi wrogiego plemienia (kuzyn Leszek z Częstochowy) przypalaliśmy stopy, chcąc wymóc na nim zdradę miejsca postoju wyimaginowanego szczepu. Dalej był zagajnik, a w nim pierwsze palone papierosy, obserwacje opalających się dziewcząt z sąsiedztwa, i wykopany w tajemnicy przed rodzicami schron, który później przekształcił się w twierdzę obronną. Ta jednak padła niespodziewanie któregoś dnia pod naporem herodowych wieści o matczynym obiedzie. Wtedy nasz ojciec - heros - sam jeden zdobył ją i zniszczył. Ogród swymi rozmiarami sięgał prawie do ulicy Batorego, granicą była leszczyna rozrośnięta wzdłuż na linii stykających się drzew. Po lewej stronie zamknięty był ogrodzeniem posesji sąsiada Świerszcza, po prawej - wrogimi zasiekami komunalnych działek. I to już koniec, bo dochodzimy do krańców Lipcowego posiadania. Cała posiadłość była wtedy jedną z większych na ulicy Leszczyńskiego.

Koloryt domu to najistotniejsze zjawisko w życiu wielu z nas. Zmieniamy się my, dorastamy, zakładamy rodziny, pielęgnujemy potomstwo, a on - jak ten kameleon. Skąd to tak dobrze znam? To jakaś prosceniczna prawidłowość, wciąż nowe scenografie na kilometrach życia, slajdy radości i smutku, a on jakby miał naszą dziecięcą twarz...

Pamiętam za to te wszystkie byle jakie, robione naprędce klipy, proce, szable, pistolety na groch, różne łuki i wymyślne strzały. Kiedyś nawet, pod wpływem oglądania filmu „Czterej pancerni i pies”, zrobiliśmy czołg z desek na podwoziu z ze-psutego wózka - spacerówki. (...) Na ulicę Leszczyńskiego, z uwagi na jej kiepski stan nawierzchni, nie zapuszczał się żaden obcy samochód, no chyba że musiał. Taksówki dowożące mieszkańców ulicy i ich gości zatrzymywały się zwykle w sąsiedztwie skrzyżowania z ulicą Nadmorską. Po długotrwałych opadach deszczu nawierzchnia jezdni zmieniała się w pojezierze mniejszych lub większych kałuż, ku dziecięcej radości. Wolna od wody przestrzeń tworzyła śliską strukturę i przejście suchą stopą było naprawdę utrudnione. W okresach długotrwałych upałów nawierzchnia wysychała, rodząc tumany czarnych obłoków wdierających się w każdy zaulek domostw przy najmniejszym wietrze. (...)

W tamtym okresie w sklepach domi-nowały szmaciane lalki, drewniane samochody, wózki drabiniaste i ołowiane żołnierzyki. Jasna rzecz, że ślimaczyliśmy się przed witrynami sklepów z zabawkami, ustalaliśmy w marzeniach, które z zabawek przypadną właśnie nam. - Dajcie ją mnie! - A czemu tobie? Przecież ty nie lubisz wózków, zaraz byś wszystko połamiał. - A co ty jesteś lepszy? Tylko siostra Wanda nie miała nigdy kłopotu z wyborem zabawki. Oddajcie nam to, co dziecięce - krzyczały oczy, ale usta milczały, były bardziej racjonalne od chwilowego uniesienia i zachwyty. Wiadome było nam, że pensja robotnicza naszego taty nie wystarczyłaby, żeby zaspokoić i spełnić nasze zachcianki. Ale właśnie za to, że pozbawiony byłem nadmiernego „zabawkołandu” szczególnie dziękuję rodzicom i losowi. W ten sposób rozbudzili we mnie niczym nieskrępowane pokłady wyobraźni... Każda połać miejsca, każda rzecz, była i mogła być przez nas dowolnie interpretowana. Tak też zagajnik w zakątku ogrodu był wałem obronnym, szanłem nie do przebycia w drodze ku naszej twierdzy. Dom był zamczyskiem, zdezelowane koło od roweru popychane kijkiem, rydwanem faraonów. Każdy, nawet najmniejszy wykopany przedmiot był skarbem, do którego dorabialiśmy legendę o pochodzeniu, zahaczając nawet o czasy zakonu Templariuszy. Wyobraźnia królowała w naszych głowach i zagnieździła się tam na bardzo długi okres, choć przynosiła niekiedy zaskakujące zwroty akcji, jak w przypadku czołgu

lub wtedy, kiedy doszło do pokąsania przez osy naszego kuzyna Leszka. (...) Za ten czyn na jakiś nieokreślony czas nasza wyobraźnia została „ubezłasnowolniona” decyzją starszyny rodowej Lipców. Mieliśmy absolutny zakaz zabaw w Indian, a wigwam podzielił los podobny do innych rekwizytów z desek teatralnych naszego, niczym nieokiełznanego dzieciństwa. Starszyna domu nie wiedziała jednak, że wyobraźni nie można zakazać, nie można osadzić jej w areszcie domowym. Ona jest wolną jak przepływające obłoki, wolną jak natura, jak

kropla deszczu spływająca po szybie okna, przez które wypatrywaliśmy słońca. Nawet w zaciśnięciu domowego aresztu wymyślaliśmy niezliczone psikusy i harce.

Telewizor - szklane okno na świat brzmiało wtedy niezwykle szczerze. Było synonimem otwartości, oglądania choćby przez krótką chwilę zakątków innych niż nasze miejsca. To pudełko z ruchomymi postaciami, jako pierwsza w naszym domu posiadała ciotka Krystyna. Na seansach telewizyjnych zbierała się cała fajra wygłodniałych oglądaczy. I chociaż

zdawaliśmy sobie sprawę, że wyobraźnia nasza na tym ucierpi, to niebieskawy odciśnięcie ekranu zniewalało, paraliżowało. W niebiesko-srebrzystym odbiciu doznawaliśmy olśnienia, nie trzeba sobie było wyobrażać miejsc, one tam po prostu były i to jeszcze jakie. Tak umierał nasz świat, z początku powoli niezauważalnie odchodził w zatacenie wraz z naszą wypracowaną wyobraźnią. Bo czyż trzeba więcej, gdy za wciśnięciem czerwonego włącznika w mgnieniu oka przenosimy się w tajemnicze miejsca, obcujemy z bohaterami indiańskich przy-

Największe do niedawna okręty wojenne świata wywodzą się w prostej linii od dawnych okrętów liniowych - wielkich, wielopokładowych jednostek o ożaglowaniu rejomym, które przez kilka stuleci walczyły na morzach w tak zwanym szyku liniowym, tj. jeden za drugim, zasypując się nawzajem pociskami na granicy donośności ówczesnych dział. Za pierwszy prawdziwy okręt liniowy uchodzi angielski *Sovereign of the Seas* z pierwszej połowy siedemnastego wieku.

Pierwsze pancerniki pojawiły się niemal równocześnie po obu stronach Atlantyku na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Najpierw, w marcu 1862 roku, w czasie amerykańskiej Wojny Sece-syjnej, na redzie Hampton Roads, odbył się nierozstrzygnięty pojedynek dwóch dość dziwacznych okrętów wojennych. Jeden z nich nazywał się *Virginia* i był po prostu opancerzoną fregatą pod flagą Konfederatów, za to drugi - sławny *Monitor* pod flagą Unionistów - nie miał nic wspólnego z żaglowymi okrętami: został zbudowany specjalnie, a jego główną bronią były działa, umieszczone w jednej, lecz za to obracalnej, wieżyczce. O konfederackiej *Virginii* mało kto dziś pamięta, lecz *Monitor* dał początek całej, specjalnej klasie okrętów, zwykle wyposażonych w jedną, pojedynczą lub podwójną, wieżę z działami wielkiego kalibru.

Po europejskiej stronie Atlantyku - już w czerwcu 1862 roku do służby pod banderą brytyjską wszedł pierwszy prawdziwy pancernik, od początku projektowany jako taki. Nazywał się *Warrior*, przesłużył pod znakiem *Royal Navy* trzydzieści lat i przetrwał do dziś. Odrestaurowany pieczołowicie, stoi w bazie Marynarki Wojennej JKM w Portsmouth, obok sławnego *HMS Victory*, flagowca adm. Nelsona spod Trafalgaru.

Pierwszy pancernik świata, jaki pojawił się na morzach z turbinowym napędem i artylerią główną jednego, wielkiego kalibru, nazywał się *Dreadnought*. Spłynął na wodę w 1906 roku i dał nazwę całej wielkiej rodzinie takich pancerników, tzw. drednotom.

Miedzy *Virginią*, *Monitorem* i *Warriorem* a *Dreadnoughtem* upłynęło ponad czterdzieści lat, w czasie których pancernik

Pancerniki

Pierwszy nowoczesny pancernik US Navy, sławny Showboat, czyli North Carolina, zachowana w Wilmington w Karolinie Północnej, słynie z największej na świecie instalacji typu „światło i dźwięk”



gód, przemieszczamy się lepszymi czołgami i statkami piratów na tajemnicze wyspy straceńców intelektualnych?

Z zamiarem zaakcentowania często używam określenia „autonomia królestwa leszczyńskiego”, to określenie na potrzeby dopełnienia treści nie jest użyte przypadkowo. Oznaczało dość spore miejsce znajdujące się za torami głównej linii kolejowej Słupska, łączącej moje miasto z Gdańskiem i Szczecinem. Umownie ten obszar nazywany był przez słupszczan „Zatorzem”. Przed wojną ten zamieszkały teren ochrzczony

był mianem osiedla ogrodów, co wymownie podkreślało zasadniczą różnicę na tle klasycystycznej zabudowy miasta. W minionym okresie był rzeczywiście pojmaną autonomią, wyróżniającą się niską zabudową domów z dużymi ogrodami i większymi zasobami działek komunalnych w miejscu dzisiejszego przedszkola przy ulicy 3 Maja, ronda i komendy policji. Od żelaznego półkolistego mostu kolejowego, idącym w górę ulicą Nadmorską towarzyszył wysoki płot betonowy, wyznaczający granice działek. Potem nagle się urywał na

wysokości dzisiejszego przedszkola, aby ponownie pojawić się za skrzyżowaniem z ulicą Stefana Batorego i bieć w górę Nadmorskiej, minąwszy Leszczyńskiego, kilka domów i anektować plac za ulicą Chrobrego w kierunku wsi Bruskowo. Ze złą infrastrukturą ulic zakątek ten często porównywany był do wiejskich sennych osad. Tak właśnie było. Jedynym elementem różniącym nas jednak od wsi był kunszt budowniczych oddających do użytku wspaniałe wille i domki jednorodzinne.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

„dojrzewał”, przechodząc rozmaite etapy, nierzadko humorystyczne (ożaglowanie, galiony i malowanie jaskrawymi kolorami, kazamaty, cytadele, ostrogi do taranowania, kominy w czworobok itp.). Okres ten na pewno wart jest osobnej opowieści.

Potem już tylko rosła wyporność okrętów, liczba wież i kaliber głównych dział. Na przykład angielskie okręty typu Queen Elizabeth z połowy drugiej dekady XX stulecia, były pierwszymi pancernikami z artylerią główną o kalibrze piętnastu cali (381 mm), a również angielski Agincourt, okręt o niezwykle skomplikowanym „życiorysie”, nosił na swym pokładzie aż siedem (!) wież artylerii głównej! Wielkie japońskie pancerniki międzywojnia - typu Nagato - po raz pierwszy otrzymały morskie działa szesnastocalowe (406 mm). Amerykańskie drednoty typu South Carolina/Michigan oraz austro-węgierskie (!) typu Viribus Unitis pojawiły się jako pierwsze okręty z działami głównymi ustawionymi tylko na dziobie i rufie, w tzw. superpozycji. Rosyjskie pancerniki typu Gangut i włoski typ Dante Alighieri - miały po raz pierwszy potrójne wieże działowe.

W Japonii, w czasie drugiej wojny światowej, powstały największe pancerniki w historii. Nazywały się Yamato i Musashi; każdy z nich miał osiem razy większą wyporność niż Warrior i uzbrojenie główne złożone z dziewięciu ogromnych dział morskich kalibru 460 mm. Jedna wieża z trzema takimi działami na każdym z nich ważyła więcej niż wielki niszczyciel, a maksymalna donośność tych dział przekraczała czterdzieści kilometrów. Z planowanych pięciu zbudowano jedynie trzy takie okręty, z tym że trzeci z nich - Shinano - w trakcie budowy przerobiono na gigantyczny lotniskowiec, największy okręt tej klasy w tamtych czasach. Niestety, japońskie giganty nie zasnęły bojowego szczęścia, obydwa zginęły pod bombami i torpedami amerykańskich samolotów w odstępie ledwie połowy roku: Musashi w bitwie morsko-powietrznej na Morzu Filipińskim w październiku 1944 roku, a Yamato - podczas samobójczej próby odsieczy Okinawy w kwietniu 1945 roku. Lotniskowiec Shinano nawet nie zdążył na dobre wejść do linii, a już dosięgły go w listopadzie 1944

roku torpedy amerykańskiego okrętu podwodnego.

Obok wielkich, zbudowano też cały szereg mniejszych i zupełnie małych pancerników przybrzeżnych. Nazywane „pancernikami obrony wybrzeża” - okręty takie służyły do ochrony portów, baz, wód terytorialnych mniejszych krajów, jak Szwecja, Finlandia czy Holandia. Rolę swą pełniły bardzo dzielnie - niektóre z nich, jak norweskie Norge i Eidsvold w kwietniu 1940 roku, walczyły z przeważającym wrogiem i nierzadko ginęły. Owe „maluchy” jednak - to inna historia.

Największą bitwą pancerników była słynna Bitwa Jutlandzka w maju/czerwcu 1916 roku, w której przez dwa dni walczyło ćwierć tysiąca okrętów dwóch wrogich flot, Grand Fleet i Hochseeflotte. Niestety, pancerniki zrobiły w tym boju generalną klapę, okazując się po prostu niezdolnymi do stanowczego rozstrzygnięcia generalnego starcia: dość rzec, że w czasie całej bitwy zatonał tylko jeden pancernik klasy raczej pośredniej (niemiecki predrednot Pommern typu Deutschland), a i to bynajmniej nie w wyniku akcji artyleryjskiej innych pancerników, lecz na skutek ataku torpedowego!

Wiele pancerników zginęło, bądź doznało uszkodzeń wskutek katastrof i wypadków. Na przykład we wrześniu 1870 roku zatonał w sztormie wskutek wadliwej stateczności wzorowany na amerykańskim Monitorze HMS Captain wraz z niemal całą załogą. W dwadzieścia trzy lata później, w czerwcu 1893 roku na Morzu Śródziemnym zatonał wskutek zderzenia z innym okrętem podczas manewrów inny angielski pancernik - Victoria, również z niemal całą załogą i admirałem, dowodzącym eskadrą.

Inną przyczyną zagłady pancerników były wybuchy ich komór amunicyjnych podczas postoju w bazach. Tak zginęły - między innymi - rosyjski pancernik Impieratrica Marija w Sewastopolu w 1916 roku, angielski Vanguard w bazie RN w Scapa Flow w lipcu 1917 roku, czy japoński Mutsu w jednej z baz floty cesarskiej dwadzieścia sześć lat później. W latach osiemdziesiątych znów nastąpiła eksplozja na pancerniku - tym razem wyleciała w powietrze jedna z wież na USS Iowa i znów nie obeszło się bez ofiar wśród załogi okrętu.

W czerwcu 1921 roku, po klęsce w pierwszej wojnie światowej Niemcy - zmuszeni do wydania aliancom swej floty - sami zatopili część internowanych już jednostek w bazie Scapa Flow. Zginęły tam m.in. liczne drednoty Hochseeflotte, a ich zardzewiałe wraki jeszcze długo potem wydobywano i cięto na złom.

Groźnym wrogiem był dla pancernika okręt podwodny. Przekonali się o tym dobitnie Anglicy - najpierw, na samym początku drugiej wojny światowej, niemiecki U-Boot storpedował na kotwiczowisku Scapa Flow pancernik Royal Oak, w dwa lata później inny U-Boot „upolował” na Morzu Śródziemnym weterana z Bitwy Jutlandzkiej i spod Matapanu - HMS Barham, notabene wskutek błędu jego własnej eskorty.

Rzadko zdarza się, aby stosunkowo nowoczesny pancernik zaginął bez śladu - tak, jak brazylijski drednot budowy brytyjskiej Sao Paulo. Okręt przesłużył pod egzotyczną banderą cztery dziesięciolecia, by w końcu przepaść bez wieści podczas holowania na złom w 1951 roku!

Równie rzadko słyszy się też o buntach na pokładach pancerników. Bunt na Księżu Potiomkinie Taurydzkim w 1905 roku pamiętamy jeszcze dobrze, ale inny bunt - na holenderskich Siedmiu Prowincjach w dwadzieścia osiem lat później - pozostaje mało znany, a przecież tam zginęło wielu buntowników, kiedy dowództwo morskich sił kolonialnych w Indiach Holenderskich użyło lotnictwa do zbombardowania nieposłusznego pancernika.

W czasie drugiej wojny światowej pancerniki zdecydowanie ustąpiły pola lotniskowcom i bazującym na nich samolotom. Już w listopadzie 1940 roku brawurowy atak angielskich samolotów torpedowych z jednego lotniskowca na bazę włoskiej floty wojennej w Taranto zakończył się bardzo poważnym uszkodzeniem co najmniej dwóch stojących tam pancerników, z których jeden - Conte di Cavour, drednot, pamiętający czasy pierwszej wojny i znakomicie zmodernizowany wraz z trzema innymi okrętami tego typu w latach międzywojennych - nigdy już nie powrócił do czynnej służby po doznanym uszkodzeniu. Niemal równo w rok po Taranto o kolejny dowód wyższości samolotu nad pancerni-

wiele pancerników zginęło, bądź doznało uszkodzeń wskutek katastrof i wypadków

kiem postarali się tym razem Japończycy, nagłym atakiem z powietrza na bazę US Navy w Pearl Harbor na Hawajach, eliminując z linii szereg amerykańskich pancerników Floty Pacyfiku, z czego dwa na dobre. We wrześniu 1943 roku bomba kierowana z niemieckiego samolotu zatopiła na Morzu Śródziemnym nowoczesny włoski pancernik Roma, zaś w listopadzie następnego roku brytyjskie samoloty zniszczyły w norweskim fiordzie hitlerowskiego Tirpitz.

W ciągu wojny Japończycy praktycznie nie zbudowali ani jednego nowego pancernika, za to wcześniej zmodernizowali swoje istniejące już okręty. Tylko jeden z nich - Nagato - przetrwał drugą wojnę światową i padł później ofiarą eksperymentów z bronią jądrową, podobnie zresztą jak kilku jego stalowych przeciwników spod znaku US Navy.

Niemiecka Hochseeflotte otrzymała swe pierwsze dreadnoty niedługo przed wybuchem pierwszej wojny światowej; były to cztery okręty typu Nassau. Ostatni typ dreadnotów Cesarskiej Marynarki Wojennej Niemiec - Bayern - posłużył za wzór dla dwóch okrętów hitlerowskiej Kriegsmarine z lat drugiej wojny światowej: Bismarck i Tirpitz. Zwłaszcza ten pierwszy dał się srodze we znaki Royal Navy, topiąc jej najbardziej znany okręt lat międzywojen-

się ze wspomnianym Bismarckiem. Ostatni angielski pancernik - kolejny Vanguard - wszedł do linii pod znakiem Royal Navy praktycznie już po drugiej wojnie światowej i służył do roku 1960, kiedy to sprzedano go na złom. Jedynym godnym uwagi wydarzeniem w „życiu” tego okrętu, obok licznych ćwiczeń i rejsów szkoleniowych, była wyprawa do Afryki Południowej z parą królewską na pokładzie.

Jedyną flotą wojenną, która utrzymywała pancerniki w czynnej służbie, była jeszcze do niedawna US Navy. Pod jej znakami pełniło służbę aż pięćdziesiąt pięć różnych okrętów tej klasy. Z jednym jedynym wyjątkiem amerykańskie pancerniki nosiły nazwy Stanów Unii. Cztery ostatnie okręty liniowe US Navy - to jednostki typu Iowa, które do końca służby były pełnowartościowe. Na pokładzie pancernika Missouri, należącego do typu Iowa, podpisano na początku września 1945 roku traktat o kapitulacji cesarskich sił zbrojnych Japonii, będący ostatnim aktem drugiej wojny światowej. Ten zasłużony okręt dopiero w latach dziewięćdziesiątych zakończył swą długą służbę w US Navy.

Cały szereg pancerników zachowano w różnych bazach morskich świata, jako jednostki muzealne. Najwięcej - aż dziewięć - mają ich Amerykanie, a każdy z nich

„światło i dźwięk”. USS Alabama, najmłodszy z amerykańskich muzealnych pancerników - słynął z wojennego szczęścia: w czasie jego trzyletniej służby w ogniu najgorętszych walk na Pacyfiku nikt nie został na nim nawet ranny.

Bardzo ciekawy pancernik stoi w japońskiej bazie morskiej Yokosuka: nazywa się Mikasa. Był flagowcem adm. H. Togo, zwycięzcy w bitwie morskiej koło wyspy Tsushima w maju 1905 roku, w której przestała praktycznie istnieć rosyjska flota, śpiesząca na odsiecz zdobytemu w międzyczasie przez Japończyków Port Arturowi.

Polska Marynarka Wojenna, po zakończonej pierwszej wojnie światowej i klęsce państw centralnych, miała jakoby otrzymać jeden z okrętów liniowych byłej floty cesarstwa Austro-Węgier. Potem planowała, co prawda, budowę okrętów liniowych na własny rachunek, ale na planach się skończyło. Mało tego - w ciągu całego dwudziestolecia międzywojennego mieliśmy tylko jedną oficjalną wizytę okrętu liniowego - sowieckiego Marata - w gdyńskim porcie, we wrześniu 1934 roku! Wizyta hitlerowskiego szkolnego pancernika Schleswig-Holstein w pięć lat później, miała miejsce w porcie Wolnego Miasta Gdańska i skończyła się zbójceją napaścią na tamtejszą polską składnicę tranzytową na Westerplatte.

Fot. Archiwum Autora



nych, krążownik liniowy Hood. Pościg za Bismarckiem w trzeciej dekadzie maja 1941 roku i ostateczna rozprawa z tym „piratem Atlantyku” trzymały w napięciu cały świat. Bismarck - jeden z najsławniejszych, a może najsławniejszy pancernik w historii - jest na pewno jednym z nielicznych okrętów swojej klasy, o którym powstała śpiewana ballada.

Najsilniejsze pancerniki Royal Navy powstały w latach międzywojennych - otrzymały imiona Nelson i Rodney, miały po 9 dział szesnastocalowych, umieszczonych w trzech wieżach w części dziobowej. Raczej powolne - były jednak niezwykle użyteczne: m. in. właśnie Rodney rozprawił

czymś się wyróżnia! Na przykład USS Arizona - największa hekatomba ofiar pod amerykańską banderą wojenną - jest jedynym w świecie wrakiem okrętu liniowego, uznawanym za pomnik. Na jej zrujnowanym kadłubie umieszczono mauzoleum pamięci marynarzy amerykańskich, poległych pod pasiasto-gwiazdzą banderą we wszystkich wojnach na morzach całego świata. W Houston w Teksasie stoi najstarszy zachowany amerykański pancernik - Texas, weteran obu wojen światowych. Pierwszy nowoczesny pancernik US Navy, sławny Showboat, czyli North Carolina, zachowana w Wilmington w Karolinie Północnej, słynie z największej na świecie instalacji typu

W czasie drugiej wojny światowej planowano obsadzić polską załogą stary francuski dreadnot Paris, ale i to nie doszło do skutku.

Wojciech M. Wachniewski Słupski

P.s. W roku 2006 nie ma już w służbie żadnego pancernika. Cztery ostatnie amerykańskie okręty tej klasy - stalowe „siostry” typu Iowa - niemal w komplecie zasiliły „muzealną eskadrę” USN. Jeden z nich, USS Missouri (BB-63), stanął jako okręt-muzeum w sławnej bazie Pearl Harbor, dołączając do sławnej Arizony i symboliczną kłamrą spinając dzieje zmagani toczonych przez niemal cztery lata na wodach Dalekiego Wschodu. (wmw)



OGÓLNOPOLSKI ZJAZD MASKOTEK
ROWY, LIPIEC 2012

Zdjęcia: M. Matuszewska, D. Zawisza

